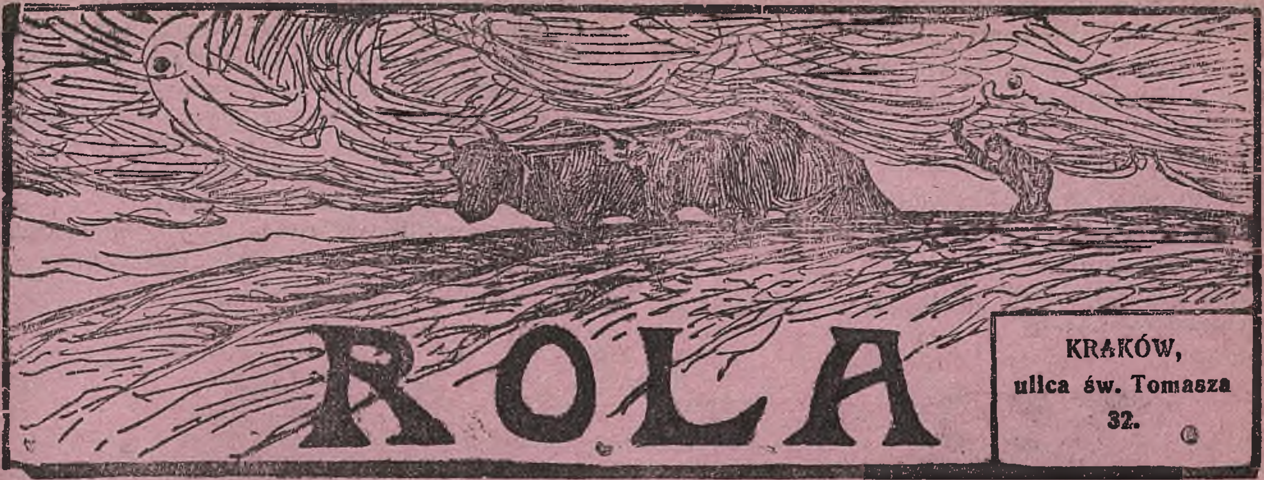
Numer 19. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 8 Maja 1927.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Dwaj myśliwi.

Dwaj myśliwi udali się do lasu, bowiem mieli zamiar nałapać żywych niedźwiedzi.

Jeden z nich polazł w wąwóz do legowiska niedźwiedzia i niezadługo krzyczy stamtąd do towarzysza:

— Halla! Złapałem niedźwiedzia!

— To prowadź go tutaj — odpowiada drugi.

— Ba! kiedyż nie chce iść psiawiara...

— To chodź sam tutaj!

— Otóż właśnie w tem bieda, że on mnie także trzyma i nie chce puścić.



Jak rak przechytrzył lisa.

Raz rzekł chytry lis do raka: Chodź, popróbujemy, kto z nas lepiej biega. Rak zgodził się i zaczęli się ścigać. Lis pobiegł pierwszy, lecz nie zauważył, jak rak w ostatniej chwili zręcznie uczepił się ogona i wisi sobie.

Lis dobiegł do mety i widzi, że raka niema jeszcze i ażeby zobaczyć, jak daleko pozostał w tyle, odwrócił się i zamachnął ogonem. Rak odleciał w tym momencie naprzód, odwrócił się i mówi:

— Ja ciebie już tu dawno oczekuję.

Jodła i brzoza.

W szkole pyta nauczyciel dzieci, które z drzewek jest najpiękniejsze. Na to odpowiada Karolek: Jodła albo choinka, bo przynosi zawsze na Boże Narodzenie dużo czekoladek, cukierków i zabawek.

— A znowu które najbrzydsze? — zapytuje nauczyciel.

— Brzoza! — wyrywa się drugi uczeń Franuś — bo z jej gałązek wyrabiają się rózgi.

Tedy naśmiała się reszta dzieci, bo Franuś był znanym wszystkim, jako że był niegrzeczny i często dostawał rózgi od swego ojca.



Gaduła.

Pewien gaduła był mimo swych przechwałek bardzo głupim. Jeżeli tylko w towarzystwie była kiedy mowa o podróżach, to on mawiał zawsze, że bywał we wszystkich krajach i miastach. Raz go zapytano:

— Jeżeli tyle podróżowałeś, to zapewne będziesz znał dokładnie geografję.

Na to odpowiedział gaduła:

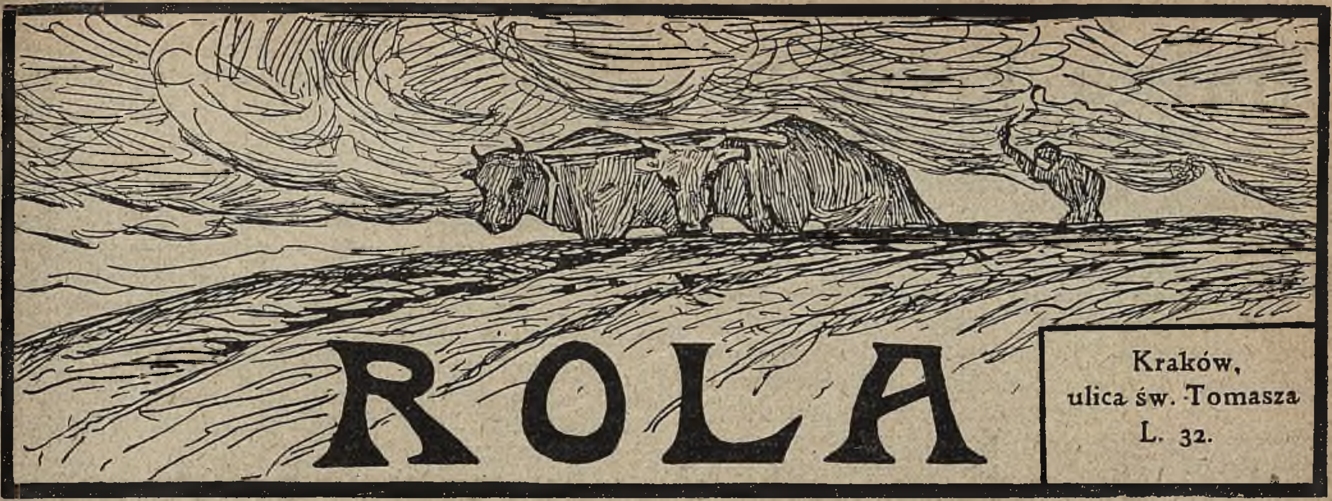
— Nie! w geografji samej nie byłem, ale całkiem blisko obok niej przejeżdżałem.

A gdy znowu zapytano go, a może znasz Dardanele?

Odpowiedział bez namysłu:

— O! tak, wszak z nimi w mojej pewnej podróży się spotkałem i nawet razem przy jednym stole obiad jadłem.

Numer 19. Rok X. Kraków, dnia 8 Maja 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Uroczystość św. Stanisława.

Dzień 8 maja jest dla każdego Polaka dniem nadzwyczaj uroczystym, gdyż w dniu tym obchodzimy święto jednego z pierwszych patronów Polski i jednego z pierwszych jej męczenników, św. Stanisława Szczepanowskiego, biskupa krakowskiego.

Było to za panowania Bolesława Śmiałego, syna Kazimierza Odnowiciela. Bolesław, jak wiemy to zresztą z Historji, był to monarcha dzielny i mądry, ale zanadto porywczy i nagły. Objąwszy tron polski po ojcu, postanowił iść śladami swego pradziada Bolesława Chrobrego i poczęści udało się mu to przynajmniej z początku. Tak, jak Bolesław Chrobry, wyprawił się i Śmiały na Ruś, zajął Kijów i osadził tam na tronie księcia, który się jego powierzył opiece. Gdy jednak po załatwieniu spraw ruskich nie spieszył się z powrotem do domu, a do rycerzy jego dochodziły wiadomości, że w rodzinnej ziemi powstały bunty podwładnych, którzy rabowali, palili i niszczyli ich posiadłości, krzywdząc ich żony i dzieci, wtedy rycerstwo nalegało na króla, aby opuścił zajętą Ruś i wracał do Polski. Bolesław jednak nie chciał tego uczynić. Wtedy większa część rycerstwa, opuściwszy samowolnie króla, wróciła do Polski i rozpoczęła straszną pomstę nad buntownikami i rabusiami. Król nie mając dostatecznej siły, aby się w Kijowie utrzymać, musiał go również z wielką goryczą i żalem opuścić, a wrócić do Krakowa. Pełen gniewu srogo mścić się począł na niewiernych mu rycerzach.

Na stolicy biskupiej w Krakowie zasiadał wówczas ks. Stanisław Szczepanowski, pochodzący z starego ale niewielkiego miasteczka, położonego około siedm mil na wschód od Krakowa. Biskup upominał rozsrożonego króla, ale napróżno. Król zapamiętały w gniewie, na nic już nie zważał. Wtedy biskup rzucił na niego klątwę kościelną. To jeszcze bardziej rozdrażniło króla: postanowił pozbyć się go za wszelką cenę. Kiedy jednak nikt nie odważył się podnieść zbrodniczej ręki na świętego męża, uczynił to sam król, zabijając go własną ręką na Skałce podczas Mszy świętej. Ciało świętego Męczennika polecił porąbać na kawałki. Stało się to w dniu 8 maja 1079 r.

Ta straszna zbrodnia oburzyła Polaków do tego stopnia, że król musiał uchodzić z własnej Ojczyzny i iść na daleką tułaczkę. Dokonał też żywota po długiej i ciężkiej pokucie w klasztorze karyntyjskim w Ossyaku.

Pocięte na kawałki zwłoki świątobliwego biskupa, złożone przez duchowieństwo, zrosły się cudownym sposobem, a na jego grobie liczne cuda dziać się poczęły. Chorzy, ślepi i różnego rodzaju kaleki na jego grobie zdrowie odzyskiwali. Przychodziły częstokroć na Skałkę tłumne pielgrzymki z pokorną prośbą do świętego męża o zdrowie, odchodząc zwykle z pomyślnym rezultatem swych próśb.

W sześćdziesiąt lat po śmierci św. Stanisława Polska rozćwiartowała się na części: podziału dokonał Bolesław Krzywousty pomiędzy swoich synów. Kiedy jednak w r. 1254 Ojciec św. Innocenty IV policzył Stanisława w poczet świętych i nadał go Polsce za Patrona, poczęły się zrastać rozbite cząstki Polski i za Władysława Łokietka zrosły się na nowo w jedną całość, a za jego syna Kazimierza Wielkiego zajaśniała nawet w Polsce zamożność, którą cieszyli się właśni rodacy, a podziwiali ją sąsiedzi.

I było w Polsce dotąd dobrze, póki ludzie czcili swych świętych, póki korzyli się przed Panem Najwyższym, póki prowadzili życie pobożne i bogobojne. Ale gdy za Sasów i później zaczęto zapominać o Bogu, gdy oddawano się pijaństwu i wszelkiemu zgorszeniu, gdy odwrócono się od Boga i Jego świętych, Pan Bóg pokarał surowo naszych praojców, odbierając im wolność, a oddając pod przemoc odwiecznego wroga na długie lata pokuty i żalu.

Nastąpiła znaczna poprawa i Pan Bóg tę utraconą wolność przywrócił nam ponownie. Ale przywrócił nam nie po to, abyśmy znów grzechami w może jeszcze cięższą niewolę grzebali naszą Ojczyznę, ale po to, abyśmy unikając wad naszych praojców, dobrymi czynami starali się odwdzięczyć za otrzymane dobrodziejstwo.

A cześć dla świętych, a szczególnie dla świętych Polaków w dużej mierze może nam być pod tym względem pomocna.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV. w.

10. Oskarżenie.

Była wiosna 1427 roku, dobrze już rozpoczęta a nadbużne okolice stały zielone i wonne w całym blasku piękności swej dzikiej nieco, pierwotnie przypominającej wieki.

W małym zameczku Horodelskim, do którego Witold go ściągnął, Jagiełło od dwóch dni oczekiwał na niego, tu w tym cichym kącie, czuł się jak w raju. Życieby mu już ciężyło, gdyby nie łowy i lasy... W lasach mu było najlepiej, z ludźmi zato ciężko. Dwaj szczególnie pokoju jego nieprzyjaciele nie dawali mu życia kosztować swobodnie. Zbyszek i Witold. Lękał się ich obu.

W oczach jego wyrósł ten Oleśnicki, niemal z chłopięcia w olbrzyma, a nieustraszony był, a gardził śmiercią, a mówił prawdę gorzką... Był to mąż boży, ale straszny jak archanioł z mieczem...

On go wypiastował sam, teraz Zbyszek jemu panował.

Witold, tego on znał od dziecka jako bohatera i wodza, dał go dlatego, o rodzonych zapomniawszy braciach, kochanej Litwie, aby ona rosła i rozprzestrzeniała się pod nim.

Stało się, jak chciał, lecz teraz odrywała się już od Polski...

Jagiełło milczał...

Żal mu jej było, a w sercu radował się, że się tak stała potężną...

Witold i Zbyszek, Litwa i Polska bojowały teraz z sobą ponad głową starca, a on nie wiedział komu miał życzyć zwycięstwa...

Mówił więc sobie, że Bóg będzie wiedział najlepiej jak tę sprawę rozsądzić. Tymczasem słowik śpiewał, księżyc świecił, a puszcza mówiła królowi do ucha co kryła w sobie... On jeden znał jej tajemnicę. Noc była cudna..., cisza wielka, a na jej tle jak misterny haft złoty dzierżgała pieśń słowicza...

Królby był chciał całą tak nockę przesiedzieć do rana, przedumać... Czuł się prawie szczęśliwym.

Wtem cień ujrzał ruchomy przed sobą, który mu niespodzianie jakieś przyjście natręta zwiastował, choć zatopiony w dumaniu, nadchodzącego nie słyszał. Domyślał się król któregoś z domowników, troskliwych o to, aby go zapędzić do pościeli i podniósł głowę nierad...

Przed nim stał Witold...

Z okrzykiem zerwał się król z kłody, na której siedział i rzucił się go ściskać uradowany.

Wielki książę witał go, ale chłodno, ale smutnie, z powagą i bez radości. Oskarżenie Sonki, przyprowadziło go tu umyślnie, z tem jednem jechał do króla. Zastał go tak szczęśliwym, wesołym, dobrodusznie rozochoconym, odmłodzonym tą wiosną, iż musiał sprawę odłożyć do jutra.

Dzień po nocy jasnej wstał cały obleczony mgłami, wilgotny, smutny.

Znaleźli się oba przy rannym stole i kubkach wody świeżej, bo oba nic nad nią nie pili. Rozmowa się z zimnych jakichś pieluch nie mogła rozpowić.

Na zły czas i na złą myśl Jagiełło miał jedno lekarstwo. Gdy jeść przestali, rzekł do Witolda:

— Jedźmy w las!

— Jedźmy, ale sami — odparł Witold. — Mam z tobą pomówić na osobności, a żadne ucho ludzkie słyszeć nas nie powinno.

Jagiełło spojrzał strwożony.

— Tajemnicę mi przywozisz?

— Wielką a smutną — rzekł Witold. — Cześć twoja i szczęście od niej zalczą. Nie pytaj mnie tu. Jedźmy.

Wjechali na szeroki, pusty gościniec, konie szły powoli. Witold zachmurzony przed siebie potrzał.

— Mów, bo mnie to piecze... coś zapowiedział — zamruczał Jagiełło.

— Dowiesz się złego aż nadto prędko — rzekł Witold — ano mężem jesteś i serce powinieneś mieć hartowne, niech cię to nie zatrważa zbytnio. Na wszystko poradzimy.

Jagiełło słuchał, nie mówiąc słowa, spluwał i rzucał coś poza siebie. Twarz jego wczoraj rozpogodzona, ciemniała i nabierała wyrazu zgrzybiałej starości.

— Dałem ci sam Sonkę — odezwał się Witold — masz ją z mojej ręki, jam winien i dlatego ratować cię chcę. Ona cię zdradza.

Król krzyknął i powstrzymał konia, a zwracając się ku Witoldowi, powiedział:

— Kłamstwem to jest. Sonka!

— Słuchaj, bądź cierpliwy i mężny — przerwał książę. — Na wiatr nigdy nie mówię słowa. Patrzyłem za ciebie, szpiegowałem, wiem, i pewny jestem, że ona ci jest niewierną.

Bladość żółta okryła twarz Jagiełły, głos zamarł mu na ustach, ledwie mógł wyjąknąć.

— Mów, mów wszystko!

— Miałem i mam na dworze u jej boku ludzi, co patrzyli na wszystko i donosili mi — rzekł Witold. — Tyś stary, ona młoda, nie pilnowałeś, ufałeś jej i ludziom, — co dziwnego, że cię ten los spotkał? Pół roku pana niema w domu, drzwi otworem. Na dworze młodzieży pełno, dobrała sobie ulubieńców, jest ich dosyć. Cieszysz się potomstwem, a...

Jagiełło nie dał mu dokończyć.

— Gardło dadzą! precz pójdzie! — zakrzyknął.

— Czekaj! najprzód połapać trzeba i dowieść winy... Żywa dusza o tem wiedzieć nie ma, dopóki winowajcy nie będą w ręku. Mam ich imiona... Nim wiadomość dojdzie do Krakowa, trzeba się zabezpieczyć, aby nam nikt nie uszedł... Do mnie ich odeślesz, ja prawdy z nich mękami dobędę, jeśli jej dobrowolnie nie powiedzą. Tyś za słaby, ciebie oni łzami przemogą, okłamią! Do mnie przyślij dziewczęta jej, które pomagały do wszystkiego, do mnie ją samą odeślij pod strażą silną. Ja ją osadzę gdzie na zamku i zamknę... Winowajców pod miecz...

Król przerażony, z głową spadłą na piersi, nie mógł nic odpowiedzieć.

— Dziecko moje! syn! — zawołał rozpaczliwie. — Tak... syn to mój... ja się go nie wyrzeknę...

— Syna ci nikt nie odbierze — odparł Witold — ale dość ci jednego... Z królową tą ty dłużej żyć nie możesz... Ja jakem ci ją dał, tak zabiorę, a zaprawdę, ciężki grzech odpokutuje ona dobrze. W wieży ją posadzę, na chleb i wodę, łotrzycę!

Z namiętnością wielką krzyknął to Witold, rękę podnosząc do góry.

Jagiełło jechał osłupiały, gniew w nim walczył z żalem, łkanie jakieś słowa w nim tłumiło. Chciał mówić i nie mógł.

— Witoldzie — przerwał — zdobywając się na wysiłek. — Ona miała i ma nieprzyjaciół. Patrz, by cię nie okłamano... Srogim występkiem byłoby ciemiężyć niewinną niewiastę.

— Ona niewinną? — wybuchnął Witold — ja ją od dziecka znam! Kiedym ci dawał młode i piękne dziewczę, przypomnij sobie, mówiłem ci w Nowogródku: strzeż się i pilnuj, bo to krew Rusinki, która nie śpi, wydaje się jak woda zamarzła, ale gdy się poruszy — ukropem tryska...

Jakby nie słyszał słów tych, Jagiełło się zwrócił ku niemu.

— Imiona mi mów... imiona... kto?

— Komorników jej dałeś młokosów — zaczął Witold.

— Ochmistrzem jest Nałęcz stary...

— Takim jak ty mężem, a on i ty obaście ślepi. Nie winien on, ale szlachta bezwąsa, co za nią ogony nosiła i na usługach jej była... Pierwszy z nich, najulubieńszy... Hincza z Rogowa.

— Hincza, ten! któregom ja głaskał i pieścił... Zdrajca! on!

— Któż nas zdradza, jeśli nie ci, których my łaskami obsypujemy? — odparł Witold.

— Hincza! — jeszcze raz powtórzył król zadumany.

— Ale i inni tam wspólnicy lub pomocnicy tacy dobrzy, jak on — dodał książę. — Jaśko z Koniecpola, Szczekocińskich dwóch, Wawrzyn Zaręba...

Z zakąszonemi usty i oczyma iskrzącemi słuchał, po cichu sobie powtarzając te imiona król.

— Najprzód dwie jej pomocnice, co przy niej dniem i nocą na straży bywały i drzwi pilnowały wziąć potrzeba i wysłać do mnie — mówił Witold. — Dwie Szczukowskie Kaśkę i Elżę, — ja z nich wszystkich prawdę dobędę... Sonkę ja znam! Z tej ani grozą, ani łaską nie wymożesz wyznania. Umrze, a nie powie nic. Sługi jej wyśpiewają mi wszystko... Tylko nie wygadaj się zawczasu!...

Jagiełło już był pod władzą brata, chwilę krótką burzył się i walczył, teraz poddawał się wszystkiemu, czego on wymagał.

Witold też czuł, że zapanował nad nim.

— Niczyjej oprócz mojej pomocy ci nie potrzeba, rzekł — ja biorę sprawę na siebie. Sonki ani puszczaj na oczy — łzami cię zmiękczy, okłamie bezwstydna... Imiona winowajców ja ci dam, nie przebacz żadnemu. Głową powinni nałożyć dla czci twojej.

— Pójdzie to po świecie... na srom mój — jęknął król — nie zataić tego...

— Nikomu to nie tajne już, oprócz ciebie, nie masz co oszczędzać sławy straconej. W Krakowie na ulicach palcami już ulubieńców wytykają. Znają ich wszyscy... Przykładnej kary potrzeba.

— Ostatnią miał i miłowałem ją jak żonę i jak dziecko — odezwał się król bolejącym głosem. — Nie dziwuj się i nie łaj. Ostatek życia zatruła, na kolebkę dziecka padł cień... nieprzyjaciele nasi...

Łkając mówił przerywanemi wyrazy, a Witold spoglądał nań, śledząc jego uczucia. Chciał mu się dać wynurzyć, aby wiedział, co ma czynić dalej.

— Na Boga żywego — dodał Jagiełło — choć powiadasz, że wszyscy wiedzą o tem, potrzeba im gęby zamknąć, ostrożnie i tajemnie to spełnić, wrzawy nie budzić, oczów nie zwracać.

— Nie potrzeba się samym oszukiwać — przerwał Witold — tajemnica się póty uchować może tylko, dopóki winnych nie weźmiemy. Sonkę pod strażą odeślij do mnie, rozumiesz?

Król nie odpowiedział.

— Na Boga! — rzekł — o to się naradzić potrzeba... Na cóż mam ją odsyłać? Jest u mnie zamków dosyć, osadzę ją na jednym z nich.

Rozśmiał się Witold szydersko:

— Ja cię znam! — wtrącił gwałtownie — osadzisz ją, potem za nią zatęsknisz, odwiedzisz, przewrotna niewiasta rozpłacze się, przebaczysz i weźmiesz napowrót do Krakowa.

— Nie — zawołał Jagiełło — zdrady jej nigdy nie daruję! Byłem dla niej dobrym, powolnym, ufałem jej, nie posądzałem nigdy... nie! Srogo zawiniła!

— Odeślesz ją na Litwę — zawołał Witold nalegając. — Obstaję przy tem... U was ona ma i mieć będzie sojuszników, przyjaciół, pomocników. Ty sam za siebie nie możesz ręczyć.

Jagiełło jechał jakiś czas zadumany, nagle podniósł głowę i wejrzał na brata.

— Ale przedewszystkiem — zawołał — trzeba się o winie przekonać! Cóż to jest? dotąd próżne gadanie ludzi, zazdrośników, wrogów? Na kogóż oni nie rzucą potwarzy? Wszak Gniewosz z Dalewicz śmiał tę świętą panią moją, Jadwigę, obwiniać? Wszak łotry Annę spotwarzali? Tak samo i na Sonkę mogą...

— Nie! nie! — przerwał silnym głosem Witold. — Ty mnie znasz, ja łatwowiernym nie jestem, nie śmiałbym ci pokoju zamącić, gdybym nie był pewnym tego, co mówię. Od roku śledzę. Chciałem być przekonanym, wiem imiona, nazwiska, dni niemal, kiedy swawole na zamku wyprawiano... Daj mi Szczukowskie, co do nich dopomagały, Kaśkę i Elżę, a ja prawdy resztę dobędę.

Szybszym krokiem powracali ku gródkowi, milcząc. Pomimo, że król doznane wzruszenie chciał ukryć przed oczyma ludzkiemi, ci, co go znali, gdy zsiadł z konia w podwórzu, spostrzegli łatwo, że wielkiej doznał przykrości. Lecz nie było w tem nic nadzwyczajnego. Nigdy prawie spotkanie się z Witoldem nie przynosiło radości Jagielle, znosił zawsze od niego wymówki, walka była nieustająca. Nikt się nie mógł domyśleć o co chodziło, lecz z samotnej przejażdżki, w której nikt im nie towarzyszył, wnoszono, że sprawa ważną być musiała.

Po całej nocy bezsennych rozmyślań, Jagiełło wstał mniej niż wczoraj pewien jak ma sobie postąpić. Witold zacięty, widział już w tem wahaniu się zaród zmiękczenia, na które nie chciał pozwolić.

Gdy wyszli razem na rozmowę między drzewa, Jagiełło niemal płaczliwie domagał się odłożenia całej sprawy, Witold wpadł nań gwałtownie z wyrzutami, iż on sam siebie szanować nie umie...

Przeciwko takim wybuchom Jagiełło siły do oporu nie miał.

— Ja wszystko biorę na siebie — krzyknął w. książę — tyś bezwładny i pozbawiony woli. przyrzeczesz, nie zrobisz nic... Królowa musi być w drodze ku Przemyślowi, moich ludzi wyślę z twoim rozkazem, aby Szczukowskie przywieźli, a komorników podług imion i nazwisk, uwięzić kazali.

Chciał się opierać Jagiełło, — Witold mówić mu nie dopuścił.

— Ja z moimi ludźmi milczenia przynajmniej jestem pewien, — zawołał — bo wiedzą, że głowy ważą, gdyby śmieli mnie zdradzić, a ty na swoich rachować nie możesz...

Wymógł zaledwie Jagiełło, iż królowej nie mieli tykać, ani więcej nikogo nad dwie obwinione kobiety zabierać z sobą, gdyż szlachty polskiej, wszystkie rody by broniły, póki wina nie zostanie dowiedzioną, gdyby kto inny oprócz króla porwał się na nią.

Chociaż Witold śmiał się ze wszystkich zastrzeżej prawnych, lekce je sobie ważąc, musiał na to

przystać, że rozkaz uwięzienia komorników miejscowe władze spełnić miały.

Zaledwie się na to zgodzono i Jagiełło przyzwolił, a Witold swoim ludziom miał wydawać rozkazy, gdy król zawahał się znowu. Przyszło do gwałtownej pomiędzy braćmi sprzeczki.

Żądał Witold, aby ludzie jego jadący po Szczukowskie zawieźli królowej rozkaz zawrócenia do Krakowa. Nie chciał, aby się z nią Jagiełło widział, obawiał się tego... On opierał się znowu, przyzwalając zaledwie na to, aby królowa tam, gdzie ją znajdą wysłani, zatrzymała się do dalszych rozkazów.

Książę rzucał się i urągał.

— Ty więc zawsze jeszcze łudzisz się nadzieją, że oną okaże się niewinną! A ja ci powiadam, żem pewny swego, że tu już tylko dla formy baby na męki weźmiemy, bo ja co wiem, to prawdą jest.

Jagiełło nie dał się przekonać i nie ustąpił, do ostatniego kresu doszedłszy, dalej pchnąć się nie dozwalał. Chciał mieć choć cień nadziei...

Ostatek pobytu Witolda w Horodle zszedł na coraz burzliwszych scenach między nim a królem. Książę, lękając się, aby mu ofiara nie wyśliznęła się z rąk, napadał na Jagiełłę, szydził i rozjątrzał go... Ten powolny zwykle, wreszcie wymówki czynić począł. Zaledwie przy pożegnaniu z sobą złagodnieli nieco, a Witotld dał słowo, iż się do woli króla zastosuje.

Po odjeździe księcia smutny i przybity król pozostał jeszcze w Horodle, potrzebując samotności i wypoczynku. Siedział milczący po dniach całych, niepomiernie wiele pił wody i mówił sam do siebie. Przed obcymi nie umiał i nie lubił się wywnętrzać, uciekał od nich, a z poufałymi, którym wierzył, rad był nawet w najważniejszych sprawach radzić się i roztaczać żale przed nimi. Tak też drugiego dnia wieczorem, gdy kapelan Mikołaj nadszedł, aby królowi, surowo posty wszystkie zachowującemu, suche dni przypomnieć, Jagiełło zwierzył się z ucisku serca.

Na pierwszą wzmiankę o tem, co tu Witolda przywiodło i jakie oskarżenie ciążyło na królowej, kapłan ręce załamawszy, począł zaklinać króla, aby zbytnim pośpiechem, uległością gwałtownemu księciu, nie popełnił niesprawiedliwości.

Król wyznał naówczas, jakie już wydane zostały rozkazy, z któremi Witold miał swoich urzędników wyprawić. Kapelan nastawać począł, aby zaufanego kogoś Jagiełło wyprawił od siebie, któryby, jeśli można, Witoldowych uprzedził i czuwał, by się na królowę nie targnęli.

Słowa przekonywujące ks. Mikołaja poruszyły króla, zaniepokoiły go, uląkł się, pożałował pośpiechu. Lecz cofnąć się, zapobiec, zdawało mu się zapóźnem, a rozgłaszać zawczasu obawiał się. Chciał Witoldowi ufać i wierzyć, to gniewał się na niego.

W orszaku królewskim szczęściem znajdował się mąż powagi wielkiej, któremu Jagiełło długiemi łaty nauczył się ufać, jak wiernemu urzędnikowi i słudze.

Był nim Zbigniew Z Brzezia. Jagiełło musiał mu się zwierzyć. Nikt lepiej nad Zbigniewa z Brzezia, z urzędu stojącego przy królu, nie znał jego charakteru, stron słabych i dobrych. Gdy Jagiełło wezwał go przed swego kapelana do swej sypialni i z gburowatością sobie właściwą opowiedział mu wszystko, marszałek struchlał z trwogi i oburzenia.

— Miłościwy panie, to są niegodziwe potwarze, należało je odeprzeć... nie mamyż my środków dowiedzenia się prawdy, ludzi wiary godnych, abyśmy się uciekali do Witolda i dawali mu mięszać się do spraw naszych? Około królowej jest siła ludzi zacnych, jak Nałęcz Malski, ochmistrz jej, mąż godzien wiary i poszanowania... Na co nam tu burzliwy i namiętny książę litewski?

Trafiłoby to pewnie do przekonania króla, gdyby nie przyszło zapóźno. Jagiełło wstydził się przyznać, iż pośpiechem zgrzeszył, że się dał zakrzyczeć i wyrwać sobie zezwolenie. Musiał więc bronić się i sam w siebie wmawiać, że królowa była winną. Począł marszałkowi podawać imiona, powtarzać wszystko, co słyszał od brata, tłumaczyć się, że inaczej nie mógł.

Sam z siebie marszałek zaofiarował się natychmiast nocą i dniem pędzić na szlak wiodący z Krakowa na Ruś, dognać królowę i stanąć na straży, aby oprócz skazanych już na wydanie Szczukowskich nikt nie był pokrzywdzony...

Tegoż dnia Zbigniew z Brzezia wyruszył w pogoń z obawą wielką, iż zapóźno przybyć może... a Zbramir, łowczy i ulubieniec Jagiełły, znający słabość jego i pragnący pocieszyć i rozerwać pana, dopóty mu opiewał piękność lasów i wielość zwierza w nich, aż smutnego skłonił, że psy i konie gotować kazał i sokolników biorąc z sobą, wyruszył z Horodla w puszcze nadbużne...

W myśli może przypuszczał, iż ku swej Rusi ciągnąc dalej, — spotka przypadkiem królowę?

Chciał ją choć raz widzieć jeszcze...

(Dalszy ciąg nastąpi).



Błogosławieństwo.

Błogosławioną niechaj będzie wiosna
Dłońmi bożemi!
Ziemia i morza, słońce i powietrze
Z łaskami swemi.

Błogosławioną niech będzie ta gleba
Bo nam chleb zrodzi,
I zorza jasna, cudna, promienista
W światła powodzi!

Błogosławieni ludzie w każdej pracy,
Co się zwie Bożą.
A niechaj plony z zapału i trudu,
Świetnie się wzmożą!

Błogosławione niech będzie cierpienie
Co ludzie znoszą,
Kiedy to o cud wyzwolenia z męki —
Zbawienia proszą.

Błogosławieństwem swem błogosławiony
Niechaj Bóg będzie,
Co nas promieni, tworzy nowe życie
Na światła grzędzie!

F. Lipiński.

Pozwólcie dziatkom...



Pan, który dziatwę kocha ogromnie i każdy krok jej miewa na oku, »Pozwólcie dziatkom przychodzić do mnie! — rzekł — Niech przebywają przy moim boku. Niech patrzą w moje Boskie oblicze i niechaj moich nauk słuchają i w swych serduszkach zapału Znicze ku Panu Bogu wcześnie wzniecają«.

Tak rzekł Pan Jezus, władca wszechświata, do swej najmłodszej ludzkiej czeladzi i choć minęły już długie lata, chętnie u stóp Swych dziatwę gromadzi. I chętnie patrzy w dziecięce twarze, gdy u stóp Jego gną swe kolana, kiedy otoczą Jego ołtarze i modły wznoszą do niebios Pana.

O, wierz mi dziatwo, że Pan wszechświata, który siedzibę ma swoją w niebie, gdy tylko k'Niemu myśl twa ulata, On zawsze, zawsze, wysłucha ciebie! On twych próśb słucha z rozkoszą prawie, bo on przy tobie na każdym kroku, On bierze udział w każdej twej sprawie i w każeej chwili ma cię na oku. Więc jeśli tylko modły swe wznosisz z głębi twej duszy, droga dziecino, to o co tylko kornie Go prosisz, nigdy bez skutku prośby nie miną!

Przychodź więc dziatwo do swego Pana, ku Niemu w modłach wznoś swego ducha, przed Jego twarzą zginaj kolana, a On próśb twoich wszystkich wysłucha!

Antoni Socha.

Mędrzec ludzki.

Pan Jezus przestał nauczać i rozchodzić się poczęła rzesza. A wtedy przystąpił do uczniów niejaki Gamaliel, doktór zakonny, mąż wielce uczony, który dziesięciu językami umiał mówić, a książek napisał bardzo wiele.

I rzekł Gamaliel:

— Dopuśćcie mnie z Nim pomówić. (Albowiem uczeń niektóry zastąpił mu był drogę, widząc złość w obliczu jego.)

Pan Jezus, któremu nie tajno było, z czem przychodzi do Niego Gamaliel, rzekł, aby go puścili i stawili go wnet przed oblicze Mistrza uczniowie.

A Gamaliel rzekł:

— Przychodzę, iżbym Ci przyczynę gniewu swego przeciw Tobie oznajmił.

I rzekł Pan Jezus:

— Mów!

A on Gamaliel rzekł:

— Słuchałem pilnie, coś mówił, a stojąc wśród rzeszy, sąsiadem mi był Ananiasz, którego zowią głupim, albowiem człowiek-prostak jest, który przyrodzonego rozumu nie ma, ani od nauczycieli nauczyć się nic nie chciał. Stojąc tedy przy nim, którego wszyscy słusznie za najgłupszego mają, baczyłem na słowa Twoje i zdała mi się mowa ta mową prawdziwego proroka Pańskiego, albowiem słów było mało, a mądrości wiele. I rzekłem w duchu: „Ten ci jest prawdziwie, na którym spoczął promień z nieba". I mniemam, iż myśl słów Twoich rozumiałem. I baczyłem zasie, ilekroć zwróciłeś oczy Swoje w moją stronę: aleś Ty jednakiem okiem spoglądał na mnie, jako i na Ananiasza, którego zowią głupim, jakbyśmy oba, stojący obok siebie jednej matki byli synami, której imię: głupota. I oto pytam się Ciebie: Ażali mędrzec Pański nie czyta w duszach i nie odmierzy każdemu, co jego? Albo to sprawiedliwa przed Panem miara dawać porówno mądremu, jako i głupiemu?

A skoro skończył, rzekł Pan Jezus:

— Jest-żeś ty mędrzec, o Gamalielu?

A on wziąwszy za rękę przechodzące po rynku dziecię, stawił je przed Niego i rzekł:

— Oto dziecię, które pierwszy raz widzę na oczy moje — a zwracając się do dziecięcia zapytał Gamaliel:

— Powiedz, dziecię, a nie bój się: Kto ja jestem?

I odpowiedziało dziecię bez zająknienia:

— Tyś jest Gamaliel, doktór zakonny, mąż najuczeńszy w Izraelu, któremu żaden inny nie jest godzien rozwiązać rzemyka u sandałów.

A Gamaliel rzecze:

— Powiedziałoś dziecię! — i puścił je, które szło bawić się z towarzyszami wieku swego.

I rzekł Pan Jezus do Gamaliela:

— Zadam ci trzy pytania — a wziąwszy go za rękę, zaprowadził, gdzie rosła trawa. Tam nachyliwszy się, znalazł jedno małe źdźbło trawy i rzekł:

— Jeszcze wczoraj tej trawki nie było, jeno ziarnko rozpękłe tkwiło w ziemi. Powiedz mi, o mędrcze ludzki, jako z tego ziarnka przez noc ta trawka wyrosła?

I nie wiedział Gamaliel, co miał rzec.

A z uczniów jeden mówił do Gamaliela:

— Przecz-że wiesz, jako się gwiazda nowa rodzi, a nie wiesz, jako trawka rośnie, po której chodzisz dnia każdego?

A Pan Jezus, skinąwszy na ucznia, aby milczał, zaprowadził Gamaliela z sobą w gęstwinę i znalazł tam na drzewach dwa gniazda ptasie: a w jednem, jako i w drugiem były pisklęta, a matki ich obie z trwogą krążyły koło ludzi i piszczały żałośnie.

I wziąwszy Pan Jezus z jednego gniazda, gdzie było pięcioro piskląt, ich dwoje, przełożył do drugiego gniazdka; a z drugiego, gdzie było pięcioro, przełożył dwoje do pierwszego i było w każdem gniazdku dwoje obcych piskląt.

I rzekł Gamalielowi:

— Uważ, iż wszystkie są jednakie.

Potwierdził to ów. I pytał Go Pan Jezus:

— „Czy to możesz mi pokazać, które w każdem gniazdku są obce?“

A Gamaliel rzekł: — „Żaden człowiek tego nie jest mocen“.

A wtedy P. Jezus, stanąwszy z Gamalielem w oddaleniu przypatrywał się. I przyleciały do gniazd obu matki tych piskląt, aby je karmić.

I oto każda rozpoznała w swem gniazdku dwa cudze — i gdy swoim dawała robaczki i ślinę, tamtym nie; poleciawszy potem każda do gniazdka drugiej, nakarmiła swoich dwoje piskląt. A one poznawały matkę swoją jak i ona je była poznała.

I rzekł P. Jezus do Gamaliela:

— Patrz, jako pisklę nieopierzone poznaje to, co człowiek swym rozumem nie jest mocen rozpoznać.

A Gamaliel nic nie odpowiedział. A potem rzecze:

— Odpuść mi trzecie pytanie.

A Pan Jezus mu rzekł:

— Dobrze mówisz: odpuść. I nie pytał go więcej, rzekł zasie przypowieść taką:

— Była w jednym lesie mrówka, którą wszystkie mrówki sławiły, jako najmocniejszą, jako iż mogła sama udźwignąć ziarnko soczewicy. I pyszniła się z tego mrówka: „Któż mi dorówna? — i w całem królestwie mrówek niema takiej, coby jej dorównała.

A słysząc, że w okolicy król niejaki buduje pałac wielki, poszła mrówka przed króla i rzecze: „Silna jestem i pracowita i nikt na świecie nie sprosta mi. Pomogę ci budować twój pałac“. A król dobrotliwie skinął na nią, aby szła za nim. I doszli do muru wielkiego, gdzie byli przerwali murarze robotę dnia poprzedniego. „Muruj — rzekł do niej król — a po zapłatę coś zmurowała, przyjdź jutro“.

I wielce pracując, a natężając siły, dźwignęła mrówka duże ziarnko piasku na mur wysoki i zdał się jej cały mur zaraz wyższym. A zasie, słońce już zachodziło, gdy tę robotę skończyła, mniemając, iż żadna mrówka ani przed nią czegoś podobnego nie była zrobiła, ani po niej zrobić nie będzie zdolna.

I stanęła nazajutrz przed obliczem króla, aby otrzymała zapłatę. Rzekł jej król: „Pokaż swoje murowanie?“ Zaprowadziła go do miejsca, gdzie budowała. Ale ziarnka piasku już nie było, bo pierwszy wiatr przed wschodem słońca zwiał je.

— Zaprawdę powiadam wam, — rzekł P. Jezus — cała mądrość tego świata jest jako to ziarnko piasku: przyjdzie wiatr i zwieje i niema go. Przed Panem niema mądrych ani głupich, a wobec mądrości wiekuistej ludzka mądrość i głupota ludzka jedno jest.

Józef Serafin.



KAŚKA MYRDALONKA GADA:

Już to tak jest na świecie, ze lada bejdak bedzie sie z dzieuch wyśmiwał i nima mu kto nosa obetrzyć, aby tego nie robił więcej. Przecie tu i tam sie słysy, ze kuzda dzieucha z wirzchu, jak malowanie, ale gdyby tak kto jej pod spód zaźroł, toby pewnikiem tyle brudu zuźrał, ile go na polu przed uprawką nie widział. Ani mi sie śni bronić tych dzieuch, la których ta prawda jest naprawdę prawdziwa. Ale przecie nie wszyćkie dzieuchy są takie, bo wiadomo, że w niejednej toby sie cłek nawet bez lusterka przeźroł, cy z wirzchu, ćy pod spodem. A nawet i te, które pod spodem mają gnoju co niemiara, to przecież przez to samo, ze choć na wirzchu są jakie takie, jesce nie zasługują na całkowitą naganę.

Ale inacej jest z kawalirami wsiowemi! U nich nie ino pod spodem brud, ale i na wirzchu rzepęby posiał. Nie wierzycie, to przypatrzcie sie na ręce takiego źgaca! Fajcysko lub papirus w gębie, wąsik wykręcony, jak świński ogonek; a za paznotami tyle gnoju, zeby go gracą bez tydzień mozna wyciągać. A zaglądnąć do ucha, to nicem ono się nie rózni od wazonka na pelargoniję, chyba ino tem, ze w wazonku ziemia jałowa, a w uchu nawoźniejsa.

Powiadał do jegomości jeden doktór w niedzielę, ze jak chłopaki stają do wojska przed komisją, to nieraz ta komisyja nie wie, cy to są polskie chłopaki, cy jakiesik na pół Murzyny z Afryki. Jegomość padali, że dobrzeby było wziąć ich wszyćkich do rzyki i porządnie scotką surować, ale doktór pedzioł, ze i takby to nic nie pomogło, bo to gnoisko tak sie juz ze skórą zrosło, ze niktórego trzebaby na amen ze skóry obedrzy

Co prawda, nie mozna tego o wszyćkich powiedzieć, bo są i tacy, co sie na kuzdą niedzielę myją i choć nie całkiem, ale co z grubsa koło nosa i warg, to ta jako tako ściągną. Zdaje im sie, ze nos i gęba to najważniejse i o reśte ciała nic a nic nie dbają. Myślą oni tak, jak ten zyd, co to przysed raz do łaźni i pyta, ile sie za kąpiel płaci. Odpowiedziano mu: tyle a tyle. Ale jezeli kto płaci odrazu za dziesięć kąpieli, to mu wypadnie o połowę taniej. Zyd sie poskrobał po berlytku i pada: — A skąd ja mogę wiedzieć, że ja jeszcze będę żył pięćdziesiąt lat?

Śmieją się niektóre chłopaki z dzieuch, ze se te dawne piekne warkoce po chłopacysku obcinają. I słuśnie robią, ze się śmieją, bo to przecie nic ładnego, jak dzieucha takiego podskubańca ze siebie zrobi. Ale kiedy sie z dzieuch śmieją, to się powinni śmiać i z takich chłopacysków, którzy na głowie nosą taką hyrę, nieprzymierzając jak koński ogon.

Albo i to im się śmiesnem wydaje, jak się niktóra dzieucha olijkami pokropi, coby tak bardzo nie śmierdziała. Ciekawam, co jem to wadzi, przecie lepiej jak kto pachnie, niz jak śmierdzi. Niechby się lepiej nie śmiali, ale na siebie uwazali i nie osmradzali sie dobrowolnie. Bo cy to nie osmradzanie się, jak jeden albo drugi źgac owinie w papir kawałek trawy, podświci siarnikiem i pusca dymy z gęby, jakby z komina? A cy to nie osmradzaniem się jest, jak jeden i drugi naleje do pyska śmierdziuchy, która wionie od niego na śtyry mile i jesce mu się zdaje, ze Pana Boga za nogi uchycił, taki mądry jest wtencas i odważny. Z kogo się śmiać, to bardzo łatwo, ale swoich zberezieństw nie widzieć, to jesce łatwiej.

I bez to ja tam dziś juz nie będę więcej casu po próżnicy traciła, ino lepiej powiem: Nie kładź prosa do cudzego nosa, ino lepiej pilnuj swojego grosa.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy)

— Chciałbym wiedzieć przynajmniej — odezwał się Dik ledwo dosłyszalnym szeptem — ile tam tych obrzydłych kotów uwija się po lesie.

— Ze trzy lub cztery — odpowiedział Cezar. — Szkoda, że tak ciemno i nie można zobaczyć, jak one dokazują. Moglibyśmy jednak spuścić się trochę niżej; nic nam się przecież nie stanie, a na wszelki wypadek mamy strzelby, których wystrzał rozpędzi tę drapieżną zgraję odrazu.

Dik zgodził się chętnie i obaj przyjaciele spuścili się ostrożnie na niższą, grubą gałąź, z której łatwiej



Zwierz zmierzył ich iskrzącymi oczyma.

można było coś dojrzeć. Siedzieli tam krótką chwilę zaledwie, gdy straszliwy hałas odezwał się pod samem drzewem. Dwa kuguary wiodły ze sobą walkę zawziętą. Przyskakiwały jeden do drugiego z szalonym rozpędem i gryzły się zażarcie, to znów tarzały się razem po ziemi, a przytem mruczały i ryczały wściekle.

Świadkowie tego krwawego widowiska ani na chwilę nie spuszczali z oczu obu kuguarów i naraz ujrzeli, jak jeden z nich wyrwał się gwałtownie z pazurów przeciwnika, jęknąwszy żałośnie; zapewne niezwykle bolesną otrzymał ranę i jednym susem wskoczył na drzewo, na którem siedzieli nasi znajomi. Z szybkością błyskawicy zwierz stanął przed nimi i zmierzył ich iskrzącemi oczyma.

Dik skamieniał z przerażenia i nie pomyślał nawet o obronie. Ale i Cezar się nie poruszył, chociaż nie stracił przytomności i trzymał palec na cynglu strzelby. Śmiało spojrzał on w oko zwierzęciu, które zdawało się nadzwyczajnie zdziwione widokiem ludzi. Kuguar stał tak przez czas jakiś, szczerząc zęby i mrucząc zupełnie jak kot, poczem odwrócił się i zaczął uciekać. Wszystko to trwało daleko krócej niż opowiadanie nasze, a przez ten czas nowe zaszły wypadki. Drugi kuguar puścił się w pogoń za zbiegiem, wdrapał się także na drzewo i gdy pierwszy uciekał śpiesznie od naszych znajomych, ujrzał niespodzianie przed sobą rozwartą paszczę swego zwycięzcy.

— Teraz pora — szepnął Cezar do towarzysza — bierz na cel pierwszego, a ja się z drugim rozprawię. Tylko mierz dobrze, Diku, mierz dobrze.

Dik ochłonął już z przestrachu o tyle, że mógł spełnić to polecenie murzyna; wycelował uważnie i pewną ręką trzymał strzelbę.

— Pal! — wykrzyknął Cezar na głos.

Oba strzały padły jednocześnie. Kuguar, którego na cel wziął Cezar, spadł z drzewa zabity na miejscu. Nie tak dobrze powiodło się Dikowi. Trafił on wprawdzie także, lecz zranił tylko zwierzę, czem je wprawił we wściekłość. Wielkie niebezpieczeństwo zagrażało teraz obu młodym myśliwcom. Kuguar, szczerząc zęby i mrucząc groźnie, przyskoczył do murzyna, który własnem ciałem osłonił towarzysza i podniósł nóż myśliwski. Dik tymczasem spiesznie broń nabijał.

Nieustraszona postawa Cezara onieśmieliła zwierzę na chwilę, — spoglądało na przeciwnika, niepewne, czy rzucić się na niego, czy cofnąć. A chwila ta pomimo ciemności wystarczyła Dikowi do nabicia strzelby. Podał ją przyjacielowi, rozległ się strzał i kuguar, który już przysiadł właśnie, gotując się do skoku, jęknął głucho, i podskoczywszy tylko na miejscu martwy spadł z gałęzi na ziemię.

— Dzięki ci, Panie! — zawołał Dik i odetchnął głęboko. — Jednak nie mów ty już nigdy więcej, Cezarze, że kuguar czyli puma nie jest niebezpieczny dla człowieka!

— Niechże Dik pamięta, że spotkanie nasze z tymi drapieżnikami nastąpiło wśród szczególniejszych okoliczności. Można więc uważać to za wyjątek od reguły, że kuguar nigdy nie napada człowieka. No, teraz nasze strzały musiały wypłoszyć wszystkich niepotrzebnych włóczęgów nocnych. Wracajmyż coprędzej do naszej twierdzy, tylko wprzód strzelby nabijmy.

W kilka dni potem młodzi nasi przyjaciele spostrzegli, że im zabraknie świeżego mięsa, niezwłocznie więc postanowili wyruszyć na dalszą wycieczkę myśliwską i postarać się o zwierzynę. W pobliżu twierdzy brakło jej zupełnie, bo strzały młodych myśliwców wypłoszyły stąd wszelkie żyjące stworzenia. To też Cezar i Dik umyślili w dalszych stronach popróbować szczęścia.

Po kilkugodzinnej wędrówce natrafili na małą, wąską kotlinkę, przez którą przepływał rączy strumień z szumem i pluskiem. Zewsząd odzywało się kucie dzięciołów, a ile owadów brzęczało w powietrzu, ile różnych szmerów dochodziło, i z trawy, i z gęstwiny liści, tego żadne pióro opisać nie zdoła. Ale wśród wszystkich głosów skrzydlatej rzeszy jeden szczególnie uderzył Cezara.

— Indyki dzikie — rzekł, wskazując ręką stronę, z której głosy tych ptaków słyszeć się dawały.

— Musimy parę upolować — odezwał się Dik.

— Rozumie się — potwierdził Cezar. — Wprawdzie są niezmiernie bojaźliwe i najmniejszy szelest je płoszy, jednak z powodu swej głupoty łatwo się podejść dają. Idźmy ostrożnie i cichuteńko w tę stronę, a może nam się uda je wypatrzyć.

Musieli przebyć dobry kawał drogi z ogromną ostrożnością, co w tej gęstwinie niełatwą było rzeczą.

— Stój! — szepnął wreszcie Cezar, stanąwszy za grubym pniem drzewa i skinieniem wskazał towarzyszowi, aby uczynił to samo. Wnet z ukrycia swego

murzyn począł naśladować gdakanie indyka w tak mistrzowski sposób, że w podziw wprawił Dika. Kilka indyków odpowiedziało natychmiast na to wezwanie, które Cezar powtarzał raz po raz, a za każdym razem głosy indyków bliżej się odzywały. Nareszcie kilka ptaków nadleciało, i usiadłszy na pobliskiem drzewie, z ciekawością oglądały się na wszystkie strony, szukając kolegi, który je tu sprowadził. Na to tylko czekał Cezar; podniósłszy strzelbę, wymierzył i dał znak przyjacielowi, by go naśladował; dwa strzały rozległy się jednocześnie i dwa tłuste indyki spadły na ziemię. Reszta odleciała z wrzaskiem przeraźliwym.

— A to nam się udało, co się nazywa! — zawołał Dik, podnosząc w górę swą zdobycz. — Ale już to z ciebie, mój Cezarze, myśliwiec nielada. Nie wiem, czy znalazłaby się tu w lesie taka zwierzyna, którejbyś ty rady nie dał.

— Wszystko to Cezar zawdzięcza dobremu, nieodżałowanemu swemu panu — odrzekł murzyn z prostotą.

Młodzi myśliwcy zabrali swoją zdobycz i poszli z powrotem do kotliny, gdzie Cezar na wybrzeżach strumyka zauważył był już poprzednio ślady jeleni i innych większych zwierząt.

Cezar chciał koniecznie powrócić przed południem do owej kotliny, na brzeg strumienia, gdyż miał nadzieję napotkać tam większą zwierzynę. Nie tak łatwo jednakże zdołali odszukać drogę; chociaż Cezar znał dobrze wszystkie sposoby kierowania się wśród puszczy, zaledwie w południe, po długiej i nużącej wędrówce, ujrzeli przed sobą kotlinę i strumień. Dik był tak znużony, że ledwo nogami włóczył. spostrzegł to poczciwy murzyn.

— Dik musi teraz dobrze wypocząć — rzekł — najlepiejby zrobił, żeby zasnął na godzinkę.

— Wyborna rada — odpowiedział tamten i niezwłocznie wyciągnął się na kołdrze, rozesłanej przez Cezara. — A ty nie zaśniesz razem ze mną?

— Cezar wcale się nie zmęczył, poszuka tymczasem zwierzyny.

— To dobrze; jabym ci chętnie pomógł, ale mi się okropnie oczy kleją; dobranoc.

Murzyn odszedł kilka kroków, lecz wnet zatrzymał i szepnął sam do siebie:

— Nie można go tak samego zostawić.

Usiadł na trawie pod krzakiem i nie spuszczał z oczu Dika, który po chwili spał już w najlepsze, a głęboki, miarowy jego oddech rozlegał się wśród ciszy. Słońce przygrzewało silnie, upał nawet w cieniu drzew uczuwać się dawał; cała przyroda zdawała się wypoczywać o tej porze. I Cezar był znużony, chociaż nie przyznawał się do tego, wkrótce też opanowała go senność niepokonana. Oczy jego przymknęły się mimowoli, otworzył je raz i drugi, spoglądając na uśpionego Dika, — w końcu zmęczenie przemogło i usnął w siedzącej postawie, wsparty o pień drzewa.

Już dawno minęła była godzina południowa, gdy w rozległej puszczy wszystko zbudziło się znów do ruchu i życia. Cezar ocknął się również z głębokiego snu i wzrok jego padł najpierw na Dika. Nagle drgnął cały; twarz jego przybrała wyraz gwałtownego przerażenia i oczy stanęły mu słupem... W rzeczy samej widok, który w tej chwili przedstawił się oczom murzyna, musiał zatrwożyć nawet jego nieustraszone serce. Dwa węże, mogące mieć około metra długości, usadowiły się też obok Dika. Jeden z nich leżał zwinięty na kołdrze obok chłopca i zdawał się także uśpiony; drugiego było widać nieco dalej w trawie, jak pełzał powoli ku rozesłanej kołdrze, wydając przytem szczególny łoskot.

— Grzechotniki! — wymówił Cezar drżącym i zmienionym głosem.

Któryż z czytelników naszych nie słyszał o strasznych grzechotnikach, któryż z nich nie wie, że ukąszenie tego jadowitego węża jest prawie bezwarunkowo śmiertelne. Jakże łatwo mógł biedny Dik, nie przeczuwający w tej chwili okropnego swego położenia, przez sen się poruszyć, wyciągnąć rękę bezwiednie i dotknąć nią węża, który się obok niego na kołdrze usadowił. W tak strasznem położeniu Cezar na chwilę stracił głowę i sam nie wiedział co począć. Lecz wkrótce odzyskał zwykłą odwagę i przytomność umysłu. Jedną myśl miał tylko: uratować Dika, albo zginąć z nim razem.

Cezar powstał, wziął siekierkę do ręki i cichutko, ostrożnie postępować zaczął. Wąż jednak musiał usłyszeć lekki szelest kroków, gdyż zatrzymał się, podniósł nieco głowę i straszne oczy zwrócił w stronę, skąd murzyn się przybliżał Coraz głośniej odzywał się odgłos grzechotek, w końcu wąż zmienił kierunek i szybko zwijając i rozwijając giętkie swoje cielsko, zmierzał prosto do Cezara. Temu to było właśnie bardzo na rękę; śmiało postąpił jeszcze parę kroków i w tej samej chwili, gdy grzechotnik w rozpędzie rzucał się na niego, siekierka błysnęła w powietrzu i za jednym zamachem odcięła głowę potworu.

Po dokonanem zwycięstwie murzyn spojrzał na śpiącego Dika i znowu krew zastygła w jego żyłach. Drugi wąż, dotychczas nieruchomy, przebudził się, podniósł zwolna głowę i jakby brał w posiadanie upatrzoną ofiarę, oparł tę straszną głowę na ramieniu chłopca. Brakowało tylko, aby ten najlżejszym ruchem pobudził gniew grzechotnika, a ukąszenie śmiertelne mogło go w mgnieniu oka dosięgnąć. Lecz szybki, jak błyskawica Cezar w dwóch susach był już przy nim, bez namysłu pochwycił węża obiema rękoma za szyję i odrzucił go daleko w trawę.

A w tejże samej chwili wśród liści pobliskiego drzewa dał się słyszeć szelest; jakiś wielki ptak spadł jak strzała na węża, i pochwyciwszy go potężnemi szponami, uniósł się z nim w powietrze. Stało się to z tak niepojętą szybkością, że Cezar zaledwie dostrzec zdołał, skąd mu ta niespodziewana pomoc przybyła; bystre jego oko poznało jednak sokoła wężojada. Ptak ów zapewne już od dłuższego czasu czatował na pożądaną dlań zdobycz i tylko widok ludzi prawdopodobnie go wstrzymywał; w każdym razie bardzo w porę nabrał odwagi i murzyn serdecznie mu za to był wdzięczny... Tymczasem i Dik się przebudził, a rzuciwszy okiem na Cezara, który stał z siekierą w ręku, pomieszany i drżący, pochwycił broń, i zrywając się na równe nogi, począł pytać niespokojnie:

— Co to jest, co się stało?... Ach!... grzechotnik! — dodał, ujrzawszy w trawie zabitego węża.

— Dwa ich tu było; Dik ani się domyśla, że jeden z tych potworów głowę opierał mu na ramieniu.

— Na miłość Boską! Jakimże cudem ocalałem?

— Cezar się z nimi krótko rozprawił: jednego siekierą zabił, drugiego chwycił rękoma i odrzucił; poczciwy ptak zabrał go sobie i oszczędził roboty Cezarowi.

— Więc znowu uratowałeś mi życie? O, Cezarze!

— Wielka to radość, wielkie szczęście dla Cezara.

— I sam narażałeś się na największe niebezpieczeństwo, aby mnie wybawić!

— Czyżby Dik nie był uczynił tego samego na miejscu Cezara? — rzekł murzyn z prostotą.

— O, ty najpoczciwszy, najwierniejszy przyjacielu, czyż zdołam ci się kiedy wywdzięczyć? — wołał chłopak, rzucając się murzynowi na szyję i ściskając go czule.

Możecie stąd wnosić, jak gorącą wdzięcznością przejęty był Dik dla zacnego murzyna, który go uchronił od tak wielkiego niebezpieczeństwa.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy młodzi myśliwcy wyruszyli ku domowi, niosąc zabite indyki i plastry miodu. Późnym wieczorem zbliżyli się do twierdzy i ku niemałemu zdziwieniu swemu usłyszeli z daleka zawzięte szczekanie Sułtana, którego przed wyjściem na tę wycieczkę zamknęli w jaskini.

— Hoho! — rzekł murzyn, przystając i z wielką uwagą oglądając strzelbę — co się też psisku stało? to nie może być bez powodu. Musiał zwierz jakiś zaglądać do naszego mieszkania, może szop albo dydelf.

— Byle nie co gorszego — mówił Dik — a cobyś na to powiedział, żeby Indjanie przybyli do nas w odwiedziny?

— Rzecz jest możliwa — odpowiedział murzyn — lecz w tym razie bardzo nieprawdopodobna. Gdyby Indjanie trafili do naszej kryjówki, nie pozwoliliby przedewszystkiem Sułtanowi tak szczekać i ostrzegać nas o niebezpieczeństwie. Zarazby poczciwego psa udusili i czekali nas w najgłębszem milczeniu. W każdym razie musimy się dowiedzieć, jaka jest przyczyna niepokoju sułtana.

Dwaj chłopcy położyli się na ziemi i pełzając na rękach i nogach, ostrożnie, bez najmniejszego szelestu, zbliżyli się do twierdzy. Zatrzymawszy się u stóp skały, poczęli z uwagą nasłuchiwać.

— Niedźwiedź — szepnął Cezar po chwili do ucha towarzysza — czy Dik nie słyszy, jak zwierz sapie i chrapie tam na skale? Musiał tu niezbyt dawno przywędrować.

— Słyszę go doskonale — odpowiedział Dik — żebyż to tylko nie był straszny niedźwiedź szary.

— Skądżeby się tu wziął? Szare niedźwiedzie bardzo rzadko zachodzą w te strony, żyją daleko wyżej na północy. Zresztą szary niedźwiedź nie wylazłby z pewnością na taką wysoką skałę; w młodości tylko drapie się na drzewa, później staje się ociężały. To musi być niedźwiedź czarny, czyli Baribal, nie taki straszny, chociaż i z nim żartować nie należy.

— I jakże my tego jegomości wyprosimy stamtąd? — zapytał Dik.

— Onby sobie i sam poszedł, żebyśmy na noc wynieśli się do lasu. Ale Cezar nie radby wyrzec się dobrowolnie takiej pysznej zdobyczy i ma już pewien pomysł... Wpierw jednak trzeba, żeby Dik schronił się do jaskini.

— Do jaskini? Jakimże sposobem, a niedźwiedź?

— Alboż to nie mamy tajemnego przejścia przy źródełku? Dik może tą drogą dostać się do podziemia. Raz tam siedząc bezpiecznie, nic łatwiejszego, jak upatrzeć szparę stosowną i palnąć do niedźwiadka.

— Zapewne, i chętnie to uczynię. Lecz cóż ty przez ten czas robić zamierzasz?

— Ja wdrapię się na to dalsze tulipanowe drzewo. Tym sposobem weźmiemy go we dwa ognie. Jak tylko Dik wypali, Cezar huknie także ze swojej strzelby i trudno, aby obie kule chybiły z tak niewielkiej odległości.

Obaj przypełźli ostrożnie do miejsca, gdzie kamień ruchomy ukryty był w zaroślach i wyjęli go bez najmniejszego szelestu. Dik wsunął się w ciasny otwór i po chwili był już w jaskini obok Sułtana, który na chwilę szczekać przestał z wielkiej radości, gdy ujrzał niespodzianie młodego swego pana.

Tymczasem Cezar wylazł ostrożnie na drzewo tulipanowe i usadowił się na niem w taki sposób, że patrzał na wierzchołek skały, sam nie będąc widzianym. Ujrzał teraz najwyraźniej postać zwierzęcia, siedzącego na płaskiej skale. Trzymając strzelbę w pogotowiu, murzyn czekał tylko, aż się odezwie z głębi podziemia strzał towarzysza. Oczekiwanie jego nie trwało długo: wśród ciszy nocnej rozległ się głośny huk; niedźwiedź z głuchym rykiem podskoczył na miejscu, a potem, mrucząc groźnie, zaczął pazurami drapać skałę, nie mogąc oczywiście zrozumieć, skąd go ta niespodzianka spotkała. Teraz z kolei Cezar wypalił. Kula trafiła, gdyż zwierz ryknął boleśnie, nie padł jednak na miejscu, lecz chwiejącym się krokiem postąpił w stronę, z której ten drugi strzał go dosięgnął. Murzyn tymczasem najspieszniej nabijał strzelbę na nowo. Niedźwiedź rozwścieczony posunął się aż nad brzeg skały, lecz stracił równowagę i całym ciężarem runął na ziemię.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Królowa kwiatów.

Pierwszy krzak róży wyrósł z pod ziemi wtenczas, gdy królowa kwiatów Róża, wypadła z włosów jutrzenki, a spadając na zemię, okryła się kwiatem piękności niezwykłej. Zapanowała w państwie wszechwładnie, królując pośród drzew, pól, brzegami jezior i strumieni, niedoścignięta w swojej urodzie. Jestem królowa kwiatów i od dziś zapanuję nad wszystkiemi kwiatami na ziemi. Moja sukienka jest biała i nigdy jej niczem nie splamię. Chociażby mi przyszło oddać nawet życie, to wolę umrzeć, niż się jej pozbędę. I tak żyjąc długo, cieszyła się swoją urodą, kąpiąc się w kroplach rosy i słuchając pieśni ptasząt.

Razu jednego, przeglądając się w strumyku czystej wody i trefując swoje włosy, zobaczyła kilka smutnych dziewic, przechodzących się pośród drzew.

— Dlaczego jesteście tak zgnębione? — zapytała królowa swych poddanych jej dziewic.

— Oto, piękna pani, dziś wyrządzono nam krzywdę — odpowiedziała jedna.

— Kto się ośmielił to uczynić? — zawołała królowa.

— Jakiś psotnik niebacznie zabłąkał się między nas, a jego widok obudził w naszych sercach wielkie bóle. Mówi, że jego imię jest Amor.

— Ukarzcie go — rzekła królowa.

Otoczyły go, pociągnęły z sobą i przywiązawszy do krzaka mirtowego, obsypały go wyrzutami. Zaniepokojona tą wrzawą, nadbiega królowa do dziewic, obsypuje go wyrzutami, jak i one i przypomina sobie jego zdrady i nieubłagalnie uderza go. Dziecko rozpłakane i drżące, wyciąga rączęta i prosi o życie.

— Dlaczego nam robisz krzywdę? Co my ci winne, że nam zamącasz spokój — kto ty jesteś?

— Ja się nazywam Amor, król miłości, zrodziłem się z twojego uśmiechu, kropla twego nektaru padła na mój krzew i oto zrobiłaś mnie swoim synem, po to, ażebyś mnie zabiła.

Zalał się łzami i zaczął konać, a krew z jego rany płynęła potokiem na kwiaty dotąd białe, a one okrywały się purpurą. Widząc to królowa, złapała konające dziecię, tuląc do serca swojego i zalewając się gorzkiemi łzami. A łzy jej spadały na łzy Amora i zrodziła się w żyłach ich miłość, która Amorowi przywróciła życie. Stała się róża kwiatem miłości i rozkoszy, a kochankowie nią się obdarzają, odtąd róża czerwona jest symbolem miłości i wierności, biała zaś oznacza niewinność. Żółta róża jest z kropli żółci Amora, a hasłem jej zazdrość.

Maryśka z Kamionki.

Stworzenie kobiety.

(Legenda.)

A gdy dnia szóstego stworzył Pan Bóg Adama, było jeszcze na świecie jakoś smutno, choć ptaszęta różnorakie starały się swym śpiewem rozweselić szumiące gaje i lasy, choć różnobarwne kwiecie rozścieliło się wzorzystymi deseniami po polach i łąkach. Smutno było, a tem smutniej, że Adam, jedynak tej ziemi, wodził roztęsknionym wzrokiem za kimś, do kogoby mógł słowo przemówić, przed kim mógłby się użalić, komu swe radości wypowiedzieć. Próbował on to uczynić wobec tych bezrozumnych istot, które go otaczały, ale słowa jego ginęły bez oddźwięku, bez echa.

Chodził więc Adam po raju i tęsknił, nie wiedząc sam za czem i do kogo. Jakąś pustką zdawał się mu raj cudowny i pustka jakaś była w nim samym. Był podobny do człowieka, i dziś często spotykanego, który nie ma obok siebie ukochanej istoty, a który, nie znając jej jeszcze, wzdycha do niej i tęskni za nią.

Inaczej Pan Bóg, który przez sześć dni świat tworzył i widział, że to, co zdziałał, było pod każdym względem dobre i doskonałe. Przewidywał wprawdzie, że niejedno z dzieł jego ludzie wypaczą i odbiorą mu w przyszłości tę doskonałość, ale nie miał zamiaru z góry temu zapobiegać, gdyż krępowałoby to wolną wolę człowieka, jaką go obdarzył.

Stwórca jeszcze raz oglądał swem Boskiem okiem wszystko to, co z niczego uczynił, a oblicze Jego jaśniało głębokiem zadowoleniem. Cieszył się tembardziej swem dziełem, że cała przyroda tchnęła jakąś niebiańską rozkoszą, a wdzięczność niezmierzona przepełniała wszystkie istnienia ziemskie.

Całe plejady tych istnień otaczały Stwórcę, słały się u stóp Jego, wznosiły ponad Nim, wypowiadając — to śpiewem, jak ptaszyny, to wonią lub barwą, jak kwiaty, to tchnieniem swem, jak powiew wietrzyka, — swą przeogromną wdzięczność dla Tego, który im dał tyle piękności za nic i z niczego.

Jeden Adam chodził po raju smutny i jakby niezadowolony. Spotkał go Pan i powiada:

— Adamie, synu mój! Czemu posępność okrywa twe oblicze? Raj cały goreje od szczęścia i radości, a ty jeden zdajesz się być niezadowolony.

— Panie! Tęskno mi bardzo, choć sam nie wiem dlaczego. Ale, patrząc na twory Twej przenajświętszej woli, widzę i czuję to, że czegoś mi brak, czegoś mi nie dostaje, a co, gdybym posiadał, prawdziwe szczęście by mi przyniosło. Oto wspojrzej, Panie, na te ptaszęta, jakie one przecudowne rozhowory ze sobą wiodą. Na dźwięk głosu swojego otrzymują natychmiastową odpowiedź głosem sobie zrozumiałym. A ja Panie, prócz Ciebie, nie mam nikogo. Wspojrz, Panie, na kwiatów tych kielichy. Barwne ich listeczki splotły się w uścisku miłosnym i choć słów nie wypowiadają, mówią do siebie więcej, aniżeli słowy wypowiedziećby mogły. A ja czemże jestem wobec nich?

Uśmiech politowania wykwitł na obliczu Stwórcy, ale nie skarcił Adama, lecz rzekł łagodnie:

— Wiem, czego pragniesz, ale i to wiem, że gdy spełnię twoje pragnienie, nieraz tego pożałujesz. Będziesz bowiem miał osłodę w swych cierpieniach, ale częstokroć i radość twa w smutek się obróci. Będziesz nieraz z rozkoszą łowił słówka czarowne, ale jeszcze częściej rad będziesz uszy swe przed nimi zatykał. Cieszył się będziesz darem moim, ale jeszcze częściej będzie on powodem trosk twych i kłopotów twoich.

— Panie! Za jedną chwilę szczęścia prawdziwego gotów jestem znosić życia całego katusze.

— Stanie się według twej woli — rzekł Pan i rzucił okiem po swem otoczeniu.

A potem jął gromadzić materjał, z którego miała powstać pierwsza towarzyszka Adama. W ręku Stwórcy znalazły się wkrótce najróżnorodniejsze przedmioty, których znaczenia Adam nie mógł zupełnie zrozumieć. I nie silił się nawet na zrozumienie, gdyż widział tam obok najcenniejszych klejnotów najlichsze rupiecie, obok najcudniejszych drobiazgów zwykłą szarzyznę tego świata. Dziwił się tylko, na co to wszystko i po co. Ale jeszcze bardziej się zdziwił, gdy z tej różnorakiej mieszaniny pod tchnieniem Bożem powstała istota, jakiej on dotychczas nie widział. Była pozornie podobna do niego, ale jakaś inna, jakaś subtelniejsza. Cieszył się nią i wdzięczny był Panu, że istotę tę dał mu za towarzyszkę i że z nią i obok niej będzie mógł przepędzić wszystkie dni swojego żywota. Wdzięcznym wzrokiem złożył podziękowanie Stwórcy i uprowadził w głąb raju dar otrzymany z Jego ręki, zapominając chwilowo o swym Ofiarodawcy.

Adam był szczęśliwy zupełnie aż do chwili, gdy tylko podziwiał w swej towarzyszce to, co podziwu rzeczywiście było godne. A więc godzinami i dniami wpatrwał się w jej błękitne oczy, które z niezapominajek i bławatów swój początek wzięły. Co chwila całował różowe usta swej towarzyszki, którym początek polne maki dały. Słuchał jej szczebiotu zapożyczonego od słowików i innych rajskich ptaków. Podziwiał jej gibkość, spuściznę po wiotkiej gazeli. Łowił jej oddech podobny do wiewu wietrzyka. Czuł przy sobie bicie jej serca, przypominające mu raz kaskady olbrzymich wodospadów, to znów cichy szmer strumyka. Cieszył się tem wszystkiem i rozumiał, na co Pan tyle piękności w Swem ręku zgromadził, zanim dał mu towarzyszkę życia.

Lecz szczęście jego zupełne nie trwało długo, gdyż powoli wśród kwiatów zaczęły ukazywać się i kolce. Spostrzegł Adam, że nietylko od słowików pochodził głos Ewy, ale często przez usta jej przedostawało się krakanie wrony i gdakanie kury. Nie zawsze usta jej płonęły makami, ale często i piołun wyciskał na nich swe piętno. Nietylko niebiańskie Znicze płonęły w jej wzroku, ale były też chwile, w których całe piekło gorzało w nim, pragnąc wszystko spopielić w swych płomieniach. A i to serce najumiłowańsze stawało się nieraz twardsze od najtwardszego kamienia.

I tak Adam powoli odkrył w Ewie te wszystkie rupiecie, jakie się tam z woli Bożej dostały, aby przytłumić to przeogromne piękno, w jakie Bóg kobietę wyposażył.

I w takich chwilach Adam byłby oddał całą swą szczęśliwość, aby uniknąć choćby jednej troski, jakie coraz częściej go spotykały.

Antoni St. Bassara.



Poradnik gospodarczy.

W poprzednich artykułach poznaliśmy wartość obornika, kompostu i gnojówki. Nie zawsze jednak wystarcza nawóz stajenny do zasilenia roli i trzeba używać sztucznych środków, aby urodzajność ziemi utrzymać lub powiększyć.

Materjały nawozowe, nagromadzone w jednem miejscu, lub przygotowania sztuczne, nazywamy nawozami sztucznymi. Zawierają one w małej objętości największą ilość pokarmów roślinnych bądź pojedynczych, bądź też odpowiednio skombinowanych.

Nawozy sztuczne zawierają w jednym cetnarze swojej wagi ogólnej więcej materyj odżywczych, niż znajduje się w kilkunastu cetnarach nawozu naturalnego. Użycie nawozów sztucznych jest bardzo rozpowszechnione, jako dodatek do obornika. Gdy więc chcemy mieć najlepsze plony w małych gospodarstwach, powinniśmy uczyć się używać nawozów sztucznych, aby pomagać sobie umiejętnie.

Nawozy sztuczne dzielimy na: azotowe, fosforowe, potasowe, azotowo-fosforowe, azotowo-potasowe i azotowo-fosforowo-potasowe. Do nawozów sztucznych azotowych należą również sole amonowe, saletra chilijska, wapno azotowe i odpadki zwierzące, odpowiednio przerobione na suchą mąkę, np. kopyta, odpadki skóry itp.

Nawozy sztuczne fosforowe otrzymuje się z kości mielonych i minerałów, zawierających fosfor, a roztworzonych kwasem siarkowym, które w handlu sprzedają, jako superfosfaty. (Mączka z żużli Thomasa, powszechnie zwana tomasyną.)

Do nawozów potasowych należą: popiół drzewny, zawierający duży procent potażu, dalej sole potasowe, jak kainit, mający w sobie potas, magnezję, chlor i kwas siarczany. Kainit wykopują u nas w Kałuszu, gdzie przerabiają go na nawóz sztuczny. Wyglądem swoim jest podobny do soli kamiennej, a zmielony, jest od niej ciemniejszy i ma smak gorzko-słony.

Nawozem azotowo-fosforowym jest guano peruwiańskie, krew, mięso. Azotowo-potasowy nawóz daje popiół drzewny, superfosfat potasowy, saletra potasowa i sodowa. Wszelkie mieszaniny nawozowe, skombinowane z różnych superfosfatów dają nawozy azotowo-fosforowo-potasowe.

Najpierwsze miejsce między nawozami azotowemi zajmuje saletra chilijska. Jest to gatunek soli, sprowadzanej z Ameryki Południowej, bardzo bogatą w azot, połączony z sodem, czyli azotan sodowy. Rozpuszcza się on łatwo w wodzie, a nawet we wilgotnem powietrzu. Przy użyciu saletry należy się liczyć z gatunkiem gleby i podglebia. Jeżeli ziemia jest lekka (piaszczysta), o podglebiu przepuszczalnem, saletra wsiąka z wodą do podglebia, gdyż rośliny nie mogą naraz zużyć wszystkiego azotu, i wskutek tego znaczną część tracimy. W ziemi azot, zawarty w saletrze rozchodzi się łatwo i działa szybko na rośliny, ale może być łatwo wypłukany przez deszcze. Najwięcej używa się salety pod buraki, bo mimo, że to nawóz drogi, jednak bardzo się opłaca.

Sole amonowe działają wolniej; w handlu sprzedają je pod nazwą siarczanu amonowego. Wapno azotowe działa dobrze na rolach średnio-zwięzłych, a nie nadają się zupełnie na role torfiaste, zakwaszone, ciężkie gliny i na szczere piaski. Wogóle nawozy azotowe działają na wytworzenie bujnych, ciemno-zielonych liści i powiększają ilość słomy.

Fabryki wyrabiają dwa rodzaje nawozów fosforowych: fosfaty i superfosfaty. Jest między niemi ta różnica, że w pierwszych kwas fosforowy rozpuszcza się w ziemi wolniej, w drugich, jako zaprawiony kwasem siarczanym, rozpuszcza się łatwo.

Thomasyna powstaje przy wytapianiu żelaza z rudy, a otrzymuje się ją z żużli, powstałych z topników, używanych do oczyszczenia żelaza. Żużle te mielą i sprzedają właśnie pod nazwą thomasyny. Jest ona tem lepszą, im mielej zmielona. Używa się pod jarzyny okopowe i oziminy, a na mórg bierze się 2—4 q w połączeniu z 1—2 q kainitu.

Popiołu drzewnego używa się jako nawozu potasowego. Należy go więc stosownie gromadzić, bo nie tylko może służyć do mycia i prania, jako ług, ale i do nawożenia łąk, warzyw i drzew owocowych, na które działa doskonale. Kainit wpływa na wzrost koniczyny, grochu, buraków i nawozów zielonych, ale zwykle mieszamy go z thomasyną. Guano peruwiańskie, przerobione na superfosfat, używa się na ziemie ciepłe, dobrze uprawione, bez chwastów, gdzie działa doskonale i skutecznie na wszelkie plony.

Praktyczny gospodarz, używając nawozów sztucznych, musi uważać na jakość gruntu i roślin, które ma uprawiać.

Jan Matysik.

W życiu.

W tem życiu burzliwem i smutnem
Są przecież i jasne chwile:
Bo przecież nie samo trujące zielsko
Na głuchej w polach rośnie mogile..

Na dawnych tam przecież cmentarzach
Niebiańską pojone rosą —
Przecudne w ciszy wzrastają kwiaty,
Zgrzybiałym dębom woń swoją niosą...

A kiedy je pielgrzym obaczy
W głuchej rosnące ustroni,
Wie, że je Twórcy posiała ręka
I uwielbienia łzę wnet uroni...

W ich pełne nektarów kielichy
W pustce stojące ogromnej,
On wdzięczną duszę swoją przeleje,
On — wielki duchem: pielgrzym bezdomny...

I duszę swoją wzniesie pielgrzymią
Ku wyższym jaśniejącym światom —
I umiłuje prochy mogilne
I Tego, który dał życie kwiatom!...

Wojciech Byczek.

Wiadomości polityczne.

Nowe rozporządzenie o lichwie. W najbliższych dniach ukaże się rozporządzenie ministerjalne o lichwie, w myśl którego najwyższy procent, jaki będzie można brać od pożyczek, będzie wynosił 13 rocznie. Ktoby więc pożyczył drugiemu pieniędzy, a brał więcej jak 13 złotych od 100 na rok, ten byłby karany przez sądy jako lichwiarz.

Wybory we Wschodniej Małopolsce. Minister spraw wewnętrznych Składkowski podpisał rozporządzenie, zarządzające wybory do Rad miejskich i gminnych na terenie trzech województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego z wyjątkiem miasta Lwowa. Wybory będą przeprowadzone na zasadzie obowiązującej dotychczas austrjackiej ordynacji wyborczej z uwzględnieniem czwartej kurji powszechnej, wprowadzonej przez Polską Komisję Likwidacyjną. Wojewodowie otrzymali instrukcje przeprowadzenia wyborów natychmiast.

Przed wyborami w Warszawie. W Warszawie zostały rozpisane wybory do Rady miejskiej. Walka już się rozpoczęła, ale panowie wyborcy nie walczą o jakieś zasady, któreby stolicy państwa mogły wyjść na korzyść, lecz rozchodzi się im w pierwszym rzędzie o osoby. I dlatego też właśnie oprócz dotychczasowych stronnictw powstało obecnie wiele ugrupowań, które pragną do Rady miejskiej wprowadzić swoich ludzi. Wyjdą na tem najlepiej komuniści, którzy przy poparciu różnych mętów społecznych mogą zaśmiecić nowo wybraną Radę stolicy państwa. Bo już tak jest zawsze, że gdzie się dwóch pokłóci, tm trzeci korzysta, a korzysta zwykle najgorszy.

Przygotowania wojenne Włoch. Dzienniki jugosłowiańskie przynoszą alarmujące pogłoski, jakoby Włochy czyniły wielkie przygotowania do wojny... oczywiście z Jugosławją. Pogranicze włosko-jugosłowiańskie ma być podobno obsadzone przez oddziały milicji faszystowskiej, która lada chwila może wkroczyć na terytorjum jugosłowiańskie. Wszelkie punkty strategiczne są obwarowane zasiekami betonowemi dla artylerji. Główna kwatera znajduje się w Gorycji. Ze strony włoskiej zaprzeczają natomiast, że wszystko to jest nieprawdą, a wylęgło się tylko w bujnej wyobraźni dziennikarzy jugosłowiańskich. Co jest prawdą, a co zmyśleniem najbliższa przyszłość zapewne wykaże.

Nowy rząd sowiecki. Główny komitet wykonawczy sowietów zatwierdził nowy rząd, na którego czele stoi Rykow, coś jak u nas prezydent ministrów. Komisarzem dla spraw zagranicznych jest Cziczerin, wojny Woroszyłow, komunikacji Rudzatak, poczt i telegr. Smyrnow, inspekcji robotniczej i chłopskiej Ordżonikidze, skarbu Brjuchanow, pracy Szmidt itd.

Reforma wyborcza w Anglji. Angielskie prawo wyborcze do parlamentu zostanie wkrótce zmienione. Zmiana ta będzie szła w dwóch kierunkach: po pierwsze kobiety zostaną pod względem prawa głosowania zrównane zupełnie z mężczyznami, a wskutek tego na 11 miljonów wyborców męskich będzie 13 miljonów wyborczyń, czyli temsamem kobiety będą miały głos decydujący. Po drugie zostanie zmienione prawo dotychczasowe, w myśl którego dotychczas zwykła większość decydowała o wyborze. A więc, jeżeli kandydowało czterech i jeden otrzymał 30% głosów, dwaj po 25%, zaś czwarty 20 procent, to ten pierwszy zostawał wybrany posłem, choć nie oświadczyła się za nim ani połowa wyborców. Odtąd będzie tak, że poseł musi mieć przynajmniej jeden głos większości ponad połowę.

KRONIKA.

Od Administracji. W sprawie reklamacyj nieotrzymanych numerów „Roli" otrzymaliśmy z Dyrekcji poczt w Krakowie wyjaśnienie, aby prenumeratorzy wszelkie reklamacje czy to w sprawie zaginięcia, czy też opóźnionego nadejścia „Roli" zgłaszali zaraz w pocztowych urzędach z żądaniem wdrożenia dochodzeń w przepisany sposób. Jeżeliby zaś któryś z Urzędów pocztowych odmówił przyjęcia reklamacji, lub gdyby jakiś urząd pocztowy wykazywał częste wypadki reklamacyj, wówczas należy zawiadomić Administrację „Roli", a ta wówczas odda sprawę Dyrekcji poczt do zbadania winy. Wobec tego, gdy ktoś z prenumeratorów nie otrzyma wcale „Roli", lub otrzyma ją w terminie spóźnionym powinien zareklamować ją piśmiennie w urzędzie pocztowym, a gdyby urząd pocztowy nie wyszukał zaginionego numeru, wówczas prosimy nas o tem zawiadomić, a my brakujący numer wyślemy powtórnie, a sprawę oddamy Dyrekcji poczt do dalszego urzędowania.

Wymiana zniszczonych banknotów. W „Dzienniku Ustaw" ukaże się rozporządzenie ministra skarbu w sprawie przyjmowania i wymiany zniszczonych banknotów. Wedle tego rozporządzenia, kasy państwowe i Bank Polski przyjmować będą bez żadnych potrąceń banknoty, na których nieuszkodzony jest numer i podpisy, lub zachowane w całości dwie trzecie banknotu. Sklejone banknoty muszą składać się z rozerwanych części tego samego banknotu. Fałszywe i dziurkowane banknoty będą zatrzymywane, a z posiadaczami ich spisany będzie protokół. O falsyfikatach banknotów zawiadamiać będzie ministerstwo skarbu publiczność szczegółowemi objaśnieniami.

Pożar dwóch wsi. Ze Lwowa donoszą o olbrzymim pożarze, jaki nawiedził gminę Słuposzany w powiecie liskim. Pożar wzniecony przez dzieci, pozostawione bez opieki, wskutek wiatru i bliskiego sąsiedztwa domostw, ogarnął w ciągu godziny prawie całą wieś. Z powodu braku przyrządów pożarniczych, akcja ratunkowa ograniczyła się do ratowania dzieci, bydła i odzieży. Spłonęło doszczętnie 26 gospodarstw, 32 rodziny pozostały bez dachu. Między spalonemi budynkami znajduje się szkoła. Pogorzelców rozmieszczono po stodołach i komorach ocalałych od pożaru gospodarstw.

O groźnym pożarze we wsi Krzesin, gminy Kutno donoszą również z Warszawy. Z powodu wadliwej konstrukcji komina w jednym z domów wynikł pożar, który przy szalejącej wichurze ogarnął wkrótce całą wieś. Cała wieś, około 14 gospodarstw wraz ze stodołami i stajniami spłonęła. Ocalał tylko folwark, dwa domy i trzy stodoły. W pierwszym domu, w którym wybuchł pożar, spaliło się 4-miesięczne dziecko, nadto kilku mieszkańców odniosło poparzenia przy akcji ratunkowej. Spłonął cały dobytek oraz część inwentarza żywego. Na miejsce przybyła straż pożarna z Kutna, która z powodu wichru miała pracę bardzo utrudnioną.

Wędrówka wścieklizny. Z Wilna donoszą: Coraz częściej notowane są wypadki pokąsania przez wściekłe zwierzęta na terenie powiatu wileńsko-trockiego. Obecnie zanotowano dość niesamowity wypadek z tej dziedziny. Oto wściekły wilk we wsi Michalczyki, pow. koniawskim, pokąsał psa, ten zaś pokąsał cielę niejakiej Antoniny Miszczukowej. Spokojne dotąd zwierzę pod wpływem jadu rzuciło się na Miszczukową i pokąsało ją. Chorą kobietę odwieziono do szpitala w Wilnie.

„Najgrubszy komunista". Najgrubszym przywódcą ruchu komunistycznego w Europie jest bezwątpienia Antoni Höller, były kandydat na posła do parla-

mentu austrjackiego. Waży on 142 kilogramy i z powodu swej tuszy doznał on przed wyborami wielu nieprzyjemności. Było to podczas zgromadzenia politycznego w miejscowości Dziewięciu Kościołach. Höller wystąpił z programową mową. Do sali wkroczyli narodowi socjaliści, rozbili wiec i poczęli okładać pałkami swych przeciwników. Jedyny ratunek pozostał w nogach. Tusza stanęła na przeszkodzie najgrubszemu komuniście, odniósł więc pierwszorzędne cięgi tak za siebie samego, jak i za kolegów, którzy zbiegli.

„Milczący“ karabin. Pisma berlińskie donoszą o interesującym wynalazku, dokonanym przez inżyniera niemieckiego, Hermana Plietha, który zdołał skonstruować „milczący“ karabin automatyczny, strzelający przy pomocy zgęszczonego powietrza. Dzięki ulepszeniom wprowadzonym przez owego inżyniera do znanego już, nawiasem mówiąc, systemu, możliwe jest wypuszczenie 25 pocisków przy jednorazowem naładowaniu broni. W czasie prób poczynionych w obecności oficerów Reichswehry, kule nowego karabinu przebijały dwumilimetrowe blachy stalowe z odległości dwóch kilometrów. Konstrukcja i szczegóły techniczne wynalazku trzymane są oczywiście w najściślejszej tajemnicy, ponieważ sztab niemiecki, wobec dodatniego wyniku doświadczeń zamierza wyzyskać tę broń w celach wojskowych.

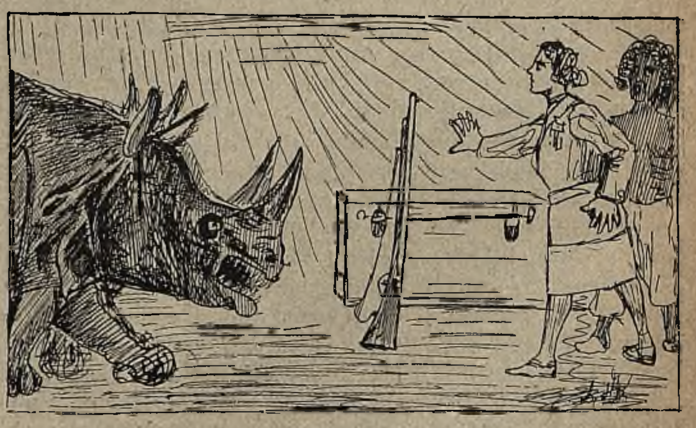
Dziwne drogi listów. W naszych czasach znane są powszechnie liczne opóźnienia i różne inne wybryki urzędów pocztowych. Dzienniki paryskie donosiły ostatnio, że jakiś list, mający przebiec 100 klm., zużył na ten cel 37 lat. Ale oto inny przykład, równie oryginalny. Pewne ustronie, znajdujące się w okolicy podmiejskiej Paryża, leży w dzielnicy zwanej Madagaskar. Otóż pewien korespondent paryski, wypisawszy na kopercie adres willi, dodał dla całości określenie ogólnej natury: „Madagaskar“. Urzędnik pocztowy — zapewne „przeciążony pracą“ zwrócił jedynie uwagę na to ostatnie słowo i skierował list na linję pocztową południowo-wschodniej Afryki. Jednakowoż list, opłynąwszy Afrykę dokoła, doszedł do rąk adresata po 6 miesiącach i 12 dniach. Koperta nosi znaki pocztowe i liczne dopiski, tyczące się tej przeprawy. Podobne wypadki zdarzają się u nas jeszcze częściej.

Las zamiast pomnika. Z okazji rocznicy św. Franciszka, zamierzano na górze Subiaco w Asyżu, wznieść olbrzymi pomnik świętego. Odstąpiono jednak od tego, a zamiast pomnika postanowiono zasadzić na owej górze las, ażeby przywrócić krajobrazowi ten sam wygląd, jaki miał przed 700 laty. Właśnie w ostatnich dniach marca zasadzono pierwsze drzewka w obecności ministra oświaty Fedelego. Cała „święta góra“ ma być obsadzona drzewami.

Pomnik dla wynalazczyni sera. W dniu 18 kwietnia odsłonięty został w francuskiej miejscowości Bimoutiers pomnik na cześć pani Marji Harel, wynalazczyni sera Camembert. Dzielna ta niewiasta nietylko wynalazła sposób przyrządzenia doskonałego sera, lecz umiała nadać mu rozgłos i wprowadzić go na międzynarodowe rynki. Z fabrykacji Camemberta ciągną dotychczas rodacy p. Harel duże zyski.

Uparta miljonerka. Prezydent republiki francuskiej Doumergue prześladowany jest od kilku miesięcy przez pewną damę, która prześladuje go swą miłością. Prezydent jest kawalerem. Otóż tajemnicza dama wmówiła sobie, że musi zostać żoną prezydenta. Jeżeli Amerykanka (ojciec panny jest fabrykantem w Nowym Jorku) coś sobie postanowi, jest rzeczą bardzo trudną odwieść ją od zamierzonego planu. Tembardziej, jeżeli ta Amerykanka jest księżniczką dolarową. Przed kilku tygodniami napisała ona list do prezydenta. Pan Doumergue żartując, opowiedział w klubie o tem wydarzeniu, poczem kilka dzienników paryskich podało tę wiadomość. List zawierał oświadczenie miłości, oraz uwagę, że autorka ma lat 32 i jest uwielbianą pięknością Odmówiła już swej ręki trzem markizom, dwom ambasadorom i kilku wielkim przemysłowcom. Posag jej wynosi 11 miljonów franków szwajcarskich. List kończył się prośbą o najspieszniejszą odpowiedź. Do listu dołączona była również fotografja. Prezydent wolał nie odpowiadać, a list wraz z fotografją powędrowały do kosza. Prezydent republiki francuskiej był pewny, że na tem wydarzenie się zakończy, ale omylił się. Od pewnego czasu uwagę urzędnika policji, towarzyszącego stale prezydentowi w przejażdżkach po mieście, zwrócił samochód, lakierowany na czerwono, a jadący zawsze i wszędzie wślad za samochodem prezydenta. Zarządzone śledztwo wykazało, że w czerwonym samochodzie siedziała dama. Była nią Amerykanka, miss Ethel W. Wyjaśniło się, że jest ona autorką listów, Pan Doumergue z uśmiechem wysłuchał tego wyjaśnienia. W parę dni później zawiadomiono prezydenta, że Amerykanka wynajęła dwóch prywatnych detektywów, którzy ciągle przechadzają się przed pałacem prezydenta i o każdym jego wyjeździe na miasto natychmiast zawiadamiają mieszkającą w pobliżu pannę Ethel. Urzędnik policji zawiadomił damę, że dla prezydenta Doumergue nie jest to wcale przyjemnem. Przypuszczano, że dama posłucha tego ostrzeżenia. Nazajutrz prezydent i otoczenie przekonali się, że nadzieje ich były płonne. Kiedy prezydent wybrał się do lasku Bolońskiego, czerwono lakierowany samochód znowu mu towarzyszył. Widocznie panna owa spodziewa się, że za pomocą wdzięków uda się przekonać zatwardziałego kawalera, by ją jednak poślubił.

Kobieta napadnięta przez nosorożce. W górach Suswa w pobliżu Nairobi (Indje angielskie) na panią Bailey napadły dwa nosorożce; siedziała ona w namiocie, gdzie oczekiwała na męża, polującego na lwy: w namiocie tym prócz Bailey byli dwaj krajowcy. Zauważywszy straszne zwierzęta, pani Bailey chwyciła karabin szybkostrzelny i ogniem powitała nieproszonych gości; że jednak nie udało się jej trafić w niebezpieczne miejsca (nosorożce mają bardzo twardą skórę i trzeba wiedzieć, gdzie należy je trafiać), nosorożce wpadły do namiotu.



Jeden z nich rogiem podrzucił kobietę w powietrze, poczem rozjuszone zwierzęta byłyby ją napewno zmiażdżyły, gdyby nie pomoc krajowców, którzy zmusili nosorożce do ucieczki. Bayley w stanie ciężkim przewieziono do szpitala.

Zarażona trądem od futra. W Madrycie, stolicy Hiszpanji jedna z młodych dam zachorowała niedawno na trąd i umieszczona została w szpitalu dla trędowa-

tych w Fontille. Ponieważ pierwsze objawy trądu ujawniły się u niej na karku, z którym stykał się kołnierz futrzanego płaszcza, przeto lekarze doszli do przekonania, że przyczyną zarażenia się było futro, które dama owa wzięła poraz pierwszy na siebie niedawno z okazji swego ślubu.

Zapadanie się ziemi. Pewnego słonecznego poranka pastuszkowie, pasący owce w okolicach Lafrontery (w prowincji hiszpańskiej Cuenca), zauważyli, że znajdujący się w pobliżu pagórek, porosły drzewami oliwnemi, zaczął się powoli zapadać. Drzewa oliwne znikły całkowicie a chłopi, którzy po pewnym czasie wdrapali się na skraj świeżo utworzonego jakby krateru o obwodzie przeszło 50-metrowym, słyszeli dochodzący do nich z dołu plusk wody, której dotąd w tym miejscu nie było. Lina, opuszczona na głębokość 550 stóp, nie dosięgła dna. Dziwny ten wypadek wywołał zrozumiały popłoch wśród ludności. Rząd wysyła do Lafrontery ekspedycję geologów, którzy mają zbadać przyczynę tego zjawiska.

Przeczucie matki. Dzienniki londyńskie opisują niezwykły fakt, który miał niedawno miejsce na aerodromie w Wokingham. Pani Garland, tknięta przeczuciem, że synowi jej grozi katastrofa, dosiadła konia i przebyła galopem przestrzeń 5-ciu kilometrów, oddzielającą jej dom od lotniska. Gdy dojeżdżała do Wokingham, aeroplan właśnie runął był na ziemię z wysokości coprawda tylko 12 metrów, dzięki czemu młody Garland poniósł powierzchowne jedynie obrażenia. Przeczucie nie zawiodło.

Postęp w hotelach angielskich. Jeden z największych hoteli londyńskich wpadł niedawno na pomysł, który napewno znajdzie wielu naśladowców we wszystkich krajach. Hotel ten skasował mianowicie wiele set dzwonków w numerach, a zamiast nich urządził sygnały świetlne, pracujące bez hałasu. Dziś w każdym pokoju tego hotelu znajdują się trzy barwne guziczki: czerwony na kelnera, zielony na służącego, biały na pokojówkę. Skoro ktoś w numerze potrzebuje śniadania czy pragnie, by mu oczyszczono ubranie lub obuwie i t. p. naciska tylko odpowiedni guzik, a skutkiem tego odpowiednie światło: czerwone, zielone czy białe zapala się jednocześnie w czterech miejscach: nad drzwiami numeru, na rogu korytarza, w pokoju dla służby i w biurze starszego kelnera danego piętra. Skoro tylko polecenie zostanie spełnione, światła gasną, a dzięki temu urządzeniu starszy kelner widzi odrazu, czy goście są dostatecznie szybko obsłużeni. Wielką zaletą tego nowego systemu jest to, że wszystko odbywa się bez hałasu, nieuniknionego przy ciągłem dzwonieniu.

W obronie mężczyzn. Od niejakiego czasu kobiety zaczynają brać górę nad mężczyznami. Szczególniej w Ameryce. Toteż w Chicago powstało towarzystwo, mające na celu obronę praw męskich przed zaborczością kobiecą. Manifest wydany przez tę organizację głosi, że żony amerykańskie sprowadziły mężczyznę do roli jucznego zwierzęcia domowego, przeciwko czemu wystąpić należy jak najenergiczniej. Głównymi postulatami, wysuwanymi przez ów związek, są: mężczyzna nie powinien zajmować się gospodarstwem, z wyjątkiem gdy żona jest chora, lub gdy małżeństwo obdarzone jest zbyt licznem potomstwem; mąż ma prawo wychodzić raz w tygodniu bez opowiedzenia się żonie; przysługuje mu fundusz dyspozycyjny w wysokości jednego dolara dziennie, z którego nie ma potrzeby wyliczać się żonie, i t. p. Towarzystwo to zapewne z obawy przed kobietami uznało za właściwe działać tajnie i nie ogłaszać nawet listy swoich członków.

Drewniane bożki zdrowia. Mieszkańcy półwyspu Korea, leżącego na północ od Chin, a należącego obecnie do Japonji obawiają się, zresztą jak wszyscy ludzie, chorób i zarazy. Aby się uchronić od tego nieszczęścia, wycinają sobie bożki z drzewa i ustawiają je na granicy wsi, wierząc, że te martwe dzieła ręki ludzkiej zapobiegną złemu.



Bożki takie przedstawia właśnie nasz obrazek. Nie bardzo jednak widocznie im ufają, gdyż bogatsi Koreańczycy wysyłają swych synów za granicę na uniwersytety, aby tam uczyli się sztuki lekarskiej.

Śmierć w paszczy rekinów. Przed kilku tygodniami zbiegło z francuskiej Guyany 5-ciu galerników, skazanych na roboty przymusowe. Między uciekinierami znajdował się słynny bandyta samochodowy Dieudonne, postrach południowej Francji i wspólnik okrutnego mordercy Bonnota, zgilotynowanego za liczne zbrodnie. Galernicy zrobili tratwę z drabiny oraz trzech próżnych beczek i wypłynęli na ocean, kierując się ku brazylijskim wybrzeżom. Zaledwie jednak oddalili się od wyspy Zbawienia otoczyła ich gromada rekinów. Nikłą tratwę zalały fale, pasażerowie zaś jej zginęli pożarci przez morskie potwory. Jeden tylko galernik uniknął śmierci i dobił do lądu. Po długich wędrówkach i licznych przygodach wpadł w ręce policji i wrócił do więzienia.

Jakie życie taka śmierć. W ubogiej dzielnicy Pekinu zmarł w ostatnich dniach prawowity następca tronu chińskiego, książe Pulum, wywodzący swoje pochodzenie w prostej linji od słońca jako 1207 jego potomek. Umarł w bardzo nędznym stanie, bo po pijaństwu. Pijaństwu oddawał się od 15 lat, stracił olbrzymi swój majątek po zaprowadzeniu republiki. Książe Pulum był inteligentnym i bystrym człowiekiem, posiadał staranne wykształcenie i mówił biegle kilku językami europejskimi. Przyjaciele europejscy chcieli go odwieść od pijaństwa, ale napróżno. Jak żył po pijacku, tak umarł pijany.

Ludożercy. W jednem z miast argentyńskich w stanie San Juan policja aresztowała kilka osób, oskarżonych o ludożerstwo.

(L. J.) **Katastrofa samochodowa.** Piszą nam z Jasła: W sobotę, t. j. 23 z. m. między 8 a 9 godziną zrana wydarzyła się straszna katastrofa samochodowa, której ofiarą padło dwoje ludzi. Przebieg katastrofy był następujący: p. Wojtynkiewicz właściciel dóbr w Trzcinicy obok Jasła przejeżdżał przez most na rzece Dębówce. P. Wojtynkiewicz nie posiadał prawa jazdy samochodem. Ofiarami katastrofy padli: niejaki Igielski liczący lat 65, oraz mężczyzna na rowerze.

RZECZY CIEKAWE.

Pielgrzymi w Lourdes.

W roku 1926 odbyto 279.000 zbiorowych pielgrzymek do Lourdes, cudownego miejsca we Francji, z czego 78.645 z obcych państw. Z pielgrzymami przybyło 12.000 chorych. Liczba pielgrzymów prywatnych, którzy nie przybyli z pielgrzymkami oficjalnemi, wynosi przynajmniej drugie tyle. W kościele głównym i różnych kaplicach Lourdes odprawiono około 51.000 mszy św., przyczem około 1,000.000 udzielono Komunji św. Komisja lekarska stwierdziła 14 cudownych uzdrowień w roku 1926 oraz jedno w r. 1927.

Życie w Nowym Jorku.

Zestawienia co do ruchu, jaki panuje w Nowym Yorku, wykazują nader ciekawe liczby. W mieście tem, największem na kuli ziemskiej, na każdą godzinę przypada 18 nowych małżeństw, oraz 17 urodzin. Na głównem skrzyżowaniu ulic przejeżdża dziennie 50 tysięcy samochodów i tyleż ludzi przesuwa się codziennie krótką, ale ruchliwą ulicą Brodway (Brodwej, tyle co droga chlebowa). Most łączący główne miasto z przedmieściem Brooklyn (Bruklin) przekracza dziennie miljon osób. Przez główny dworzec — bo jest ich kilka — przejeżdża corocznie 40 miljonów osób. Co godzinę rozpoczyna się tam budowa nowego domu mieszkalnego.

Skutki pocałunków.

Dzienniki amerykańskie donoszą, iż studenci wydziału psychologicznego w Waszyngtonie stwierdzili, że każdy pocałunek skraca nasze życie o trzy minuty. Dokładna bowiem obserwacja wykazała, że pocałunek wywołuje wzmożone bicie serca, wskutek czego pracuje ono ponad miarę i uderza o tyle razy więcej, ileby normalnie biło w ciągu trzech minut. Wskutek tego 480 pocałunków skróci życie o cały dzień, a 3360 całusów wywoła śmierć o tydzień cały wcześniej. Nie odstraszy to zapewne ludzi od pocałunków, gdyż niejeden za pocałunek oddałby nie trzy minuty, ale więcej niż trzy lata swojego życia.

Najsilniejsze na świecie stworzenie.

Za najsilniejsze (względnie) na świecie stworzenie uchdziła powszechnie pchła, mogąca skakać na odległość kilkadziesiąt razy dłuższą od wymiarów własnego ciała. Obecnie pewien przyrodnik oświadczył, że silniejszym od pchły jest krab morski. Przyrodnik ów zrobił doświadczenie z licznymi krabami uwiązanymi do deski. Odpowiednio podrażniony krab, zaciskał szczypce, w których umieszczono szalkę, na którą dokładano ciężarki.

W ten sposób krab utrzymał ciężar 30 razy większy od ciężaru własnego ciała.

Piramidy w Meksyku.

Wiedziano już od dość dawna, że jak w Egipcie, tak i w Meksyku wystawiano piramidy, owe góry kamienne, które lepiej niż inne pomniki przetrwały długie wieki, ale dopiero teraz natrafiono tam na takowe. W pobliżu miasta Tanay znaleziono piramidy, zbudowane przez ludy, które tam mieszkały przed narodem Azteków, których w Meksyku zastali jeszcze pierwsi przybysze z Europy, a który pod tyrańskiemi rządami hiszpańskich wielkorządców powymierali prawie doszczętnie.

100.000 dolarów za lok włosów.

Związek śpiewaczy w Pięciukościołach na Węgrzech posiada lok włosów Beethovena odcięty swego czasu przez przyjaciela wielkiego muzyka Sautera, z głowy Beethovena już po jego śmierci. Obecnie pewien amerykański miljarder ofiaruje stowarzyszeniu 10.000 dolarów za ten lok włosów kompozytora. Stowarzyszenie śpiewackie podobno postanowiło tę ofertę przyjąć, a za pieniądze, uzyskane w ten sposób, wznieść dom muzyki im. Beethovena. -

Księżniczki na wydaniu.

Okazuje się, że Europa ma w tej chwili dziesięć młodych i ładnych księżniczek na wydaniu. Są to córki królewskie, oczekujące na królewiczów, którzy włożą kiedyś korony królewskie na głowy. Królewiczów zresztą znalazłoby się bez trudu kilka tuzinów, gorzej jednak z koronami. Tych jest mało i nie zanosi się, żeby ich było więcej. Powojenni zresztą książęta i pretendenci do koron i tronów zdemokratyzowali się nieco. Co chwila czyta się w gazecie, że ten czy ów z pośród nich przybył do Ameryki z cyklem odczytów. Odczytów tych oczywiście nie wygłasza, ale zato żeni się przy pierwszej okazji z jakąś miljarderką. A księżniczki europejskie dorastają, kwitną, niektóre nawet już przekwitają w samotności. Najmłodsze z nich dadzą sobie jakoś radę. Należą do nich 17-letnia Ludwika holenderska, Beatrycza hiszpańska i duńska Fedora, dalej 18-letnia urocza Helena rumuńska, 19-letnia Jose belgijska, 20-letnia Giovanna włoska i 22-letnia Irena grecka. Ale gorzej jest już z 25-letnią Martą szwedzką, jeszcze gorzej z 28-letnią Eudoksją bułgarską, a najgorzej chyba z 29-letnią Hildą luksemburską. Lata płyną, a książęta latają po Ameryce za dolarami.

Dawne sądy i kary.

W dawniejszych czasach wymiar kary polegał głównie na zasadzie „oko za oko, ząb za ząb" i zmuszano oskarżonych do przyznania się do winy zapomocą męczarń czyli tortur. Kary były ciężkie celem odstraszenia, a więc np. za kradzieże ucinano rękę, a nawet obie ręce. Ażeby się oczyścić z zarzutu, apelowano do t. zw. „sądów bożych"; były to próby wody i ognia (wrzucanie ludzi oskarżonych do wody i przypiekanie dłoni lub nóg rozpalonem żelazem). Wyzywano też oskarżycieli do zmierzenia się bronią, skąd wzięły potem początek pojedynki. Sądownictwo wykonywali początkowo panujący (królowie). Pierwsze prawo karne pisane wydał cesarz Karol IV, zwane „Constitutio criminalis Carolina", które przepisuje jeszcze tortury wraz z ciężkiemi karami odstraszającemi. Toczyły się też procesy o czary, opętatnie przez złego ducha i sprawy religijne.

Później dopiero przeważyło zapatrywanie, że kara powinna zmierzać do poprawy przestępcy. Z chwilą skupa wybranych obywateli do sądów ulegała zmniejszeniu, tak, że w końcu jeden wystarczał jako oskarżyciel. Obecnie jest nim z urzędu prokurator. Dawniej cemi. Na rozwój sądownictwa wpływały państwo i Kościół, który głównie wpływ wielki wywarł na złagodzenie sądzenia i karania. Wspomnieć też można o t. zw. reformie kluniackiej (klasztoru kluniackiego), według której zakazano, w pewne dni tygodnia kraść, napadać itd., jak np. od czwartku do soboty. Na złagodzenie sądzenia i karania bardzo wpłynęły sądy biskupie. Biskup wybierał do 24 obywateli, którzy odgrywali rolę oskarżycieli. Szczątki tych sądów biskupich zachowały się jeszcze w Anglji. Liczba przez bi-

tą zaprowadzono kary więzienne. Więzienia najlepiej spełniają swe zadanie, jeśli są zarazem zakładami wychowawczemi i umieją zatrudniać skazanych i ich nauczyć prac pożytecznych. Z zapatrywaniem, iż kara ma wpłynąć na poprawę przestępcy, łączy się też warunkowe odroczenie kary na pewien przeciąg czasu. Jeśli w tym czasie zasądzony nie popełnił nic karygodnego, to karę się umarza. Obecnie nie zmusza się nikogo do przyznania się do winy, jak to było dawniej zwyczajem, zapomocą męczarń (tortur), które sprawiając dotkliwy ból i cierpienia niejednego doprowadzały do przyznania się do winy, której wcale nie popełnił.

Okładki na „Rolę" są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/**1927** jak również ze złoconymi ornamentacjami.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Penar Jan z Lackiej Woli 50 gr. i wzywa do złożenia pewnej kwoty na powyższy cel Józefa Batkę i Fr. Gałązkę, C. Dąbrowski z Ż. dla Myrdalonki 25 gr., Jan Gruszka z Chochołowa dla Myrdalonki na wianek 60 gr.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Wojciech Dybka** w B. D.: Za życzliwość serdecznie dziękujemy. Dobra rada, która się Panu wydaje dobrą, pozbawiłaby nas większości czytelników. — **Maryśka z Kamionki:** Za przesyłkę serdecznie dziękujemy. Artykulik pójdzie w jednym z najbliższych numerów na wstęp. — **Józef Rudnik** w Danji: Dotychczas z Danji jest dwóch t. j. Pan i p. Kwaśniak. Prosił o numer okazowy jeszcze jeden, ale napisał adres swój niewyraźnie, więc nie wiemy, czy go ten numer doszedł. O zalecanie „Roli" nadal prosimy, jak również wspomniany utwór o ile będzie dobry zamieścimy. Cześć!! — **Fr. Kurek** w P.: Urząd pocztowy odpowiedział, że należytości za „Rolę" od Pana nie wymagano, że Pan jest głuchy.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 2 maja b. r.

Pszenica .	55·00—56·00	Słoma długa	5·50— 6·00
Żyto . .	46·00—47·00	Ziemniaki stoł.	12·00—13·00
Owies . .	38·00—39·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	38·00—39·00	sienn. czer.	430·00—440·00
Groch zwyk.	45·00 - 50·00	Mąka pszen.	91·00—93·00
Fasola biała	53·00 - 57·00	Mąka żytnia	70·00—71·00
Łubin żółty	31·00—33·00	Otręby żytnie	28·50—29·50
Siano słodk.	10·50—11·00	Otręby pszen.	28·50—29·50
Koniczyna .	16·00—18·00	Pęcak zwycz.	54·00—55·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Władysław Stelmach).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Bywa w zimie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Dziura.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ruch powietrza.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Bogini mądrości.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Naród.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Droga.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zimno.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Używane w zimie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Szańce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Metal.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Ptak.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Nazwa wulkanu.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Góry.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj wiatru.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Umowa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.

Litery, umieszczone zamiast kwadracików dadzą imię i nazwisko pisarza politycznego XVIII w.

2. Szarady.

(Ułożył Jan Dubis ucz. VI gimn. w J.)

I.

Pierwsze i drugie od świata chroni,
Druga, trzecia, czwarta Ojczyzny broni.
Całość zas przez los wybrana,
Cichej pracy jest oddana.

II.

Pierwsza i druga złym ludziom się przyda,
Drugie i trzecie — miano niektórego żyda.
Całość, to rzecz każdemu z nas znana,
W obronie granic naszych używana.

3. Zagadki.

(Ułożył Kulifon).

I.

Chcemy kłaść na furę, kładziem jednak [na wóz.
Co to jest? Już rzekłem, więc zgadnij! [No wiesz już?

II.

Choć się gotuje, piecze i smaży,
Jeść go jednakże człek się nie waży.

4. Przestawianka.

(Ułożył Stefan Reuss z K.)

h			a			b
	a		a		a	
		m	b	m		
g	l	b	a	c	e	c
		m	n	m		
	e		a		m	
f			e			d

Litery w największym i najmniejszym kwadracie zostawić na miejscu. W dwóch środkowych kwadratach poprzesuwać tak, by powstało ośm wyrazów, czytanych po promieniach gwiazdy do środka.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 maja.

Znaczenie zagadek z Nru 17 „Roli": 1. Logogryf: Bolesław Prus, Emancypantyki. 2. Szarady: I. Mandolina, II. Serwetka. 3. Zagadka: Stopa. 4. Program kinematografu: Teofil Wiśniowski, Józef Kapuściński — Góra stracenia 31. VII. 1847.

Dobrego rozwiązania **wszystkich** zagadek w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Chytry huzar.

Za czasów austrjackich pewien huzar zauważył, że pewien chłop sprzedał na jarmarku swe woły, za które otrzymał znaczną naówczas sumę pieniędzy, sto guldenów.

Huzarowi przyszła wielka chęć posiąść te pieniądze. Śledził zatem chłopa na każdym kroku, aż tenże k wieczorowi udał się w drogę ku domowi.

Wtedy stanął huzar chłopu na drodze i prosił go, aby mu dał parę krajcarów na tytoń.

Lecz chłop zapewniał, że wydał ostatni krajcar w mieście i nic przy sobie nie ma.

— Hm! — rzekł huzar — gdyby tylko nie było tak daleko od mojej kwatery, tobyśmy mogli sobie jakoś pomóc obydwaj, ale tak, to wiesz co, gdy ty nic nie masz i ja nic nie mam, spróbujmy udać się o pomoc do św. Alfonsa i będziemy go prosić o wsparcie, ale naturalnie, że gdy on nam dziś coś podaruje, to musimy podzielić się między sobą po bratersku po połowie.

Ten święty Alfons była to kamienna statua w kaplicy przy polnej drodze.

Wieśniak oczywiście nie okazywał wielkiej chęci do tej pielgrzymki, jednakże huzar nalegał na niego bardzo i zapewniał go, że św. Alfons jeszcze nikogo nigdy nie opuścił w potrzebie, a owszem opowiadał, że już wiele razy został cudownie obdarowany od św. Alfonsa.

Chłop nakoniec dał się namówić i przyszli obaj do wskazanej kaplicy. Tam uklękli obaj i modlili się nabożnie. Po kilku minutach rzekł huzar swojemu towarzyszowi na ucho:

— Teraz skinął na mnie św. Alfons — przyczem wstał i podszedł do świętego, przyłożył ucho do jego kamiennych warg i zaraz zawrócił uradowany do swego towarzysza.

Jeden gulden nam podarował i ten musi być z pewnością w kieszeni któregoś z nas, a zacząwszy szukać najpierw w swoich kieszeniach, ku wielkiemu zdumieinu chłopa wyciągnął rzeczywiście ze swej kieszeni guldena i podzielił stosownie do przyrzeczenia ze swoim towarzyszem po połowie.

Chłopu spodobało się to bardzo i był zadowolony, gdy huzar jeszcze raz podszedł do świętego, i tym razem powrócił wojownik od świętego jeszcze weselszy niż poprzednio.

— Teraz podarował nam święty odrazu sto guldenów — rzekł huzar — i szukał namiętnie w swoich kieszeniach, lecz nie znalazłszy nic, powiada, one na pewno teraz muszą być z kolei w twoich kieszeniach.

Usłyszawszy to chłop, zbladł strasznie i zaczął się przysięgać że z pewnością nie ma ani krajcara, lecz huzar namawiał go, aby tylko miał ufność i poszukał, bo św. Alfons nie okłamał jeszcze nikogo.

Z niechęcią musiał chłop przetrząsnąć swe kieszenie i sto guldenów wyszło na jaw — a ponieważ on wziął przedtem od chytrego huzara połowę jego guldena, to musiał się podzielić teraz swymi stoma.

Nie pomogły żadne prośby i żadne błagania, bo z huzarem żartować nie można.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli" wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli" poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli" posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Kalendarze już wyczerpane!

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.